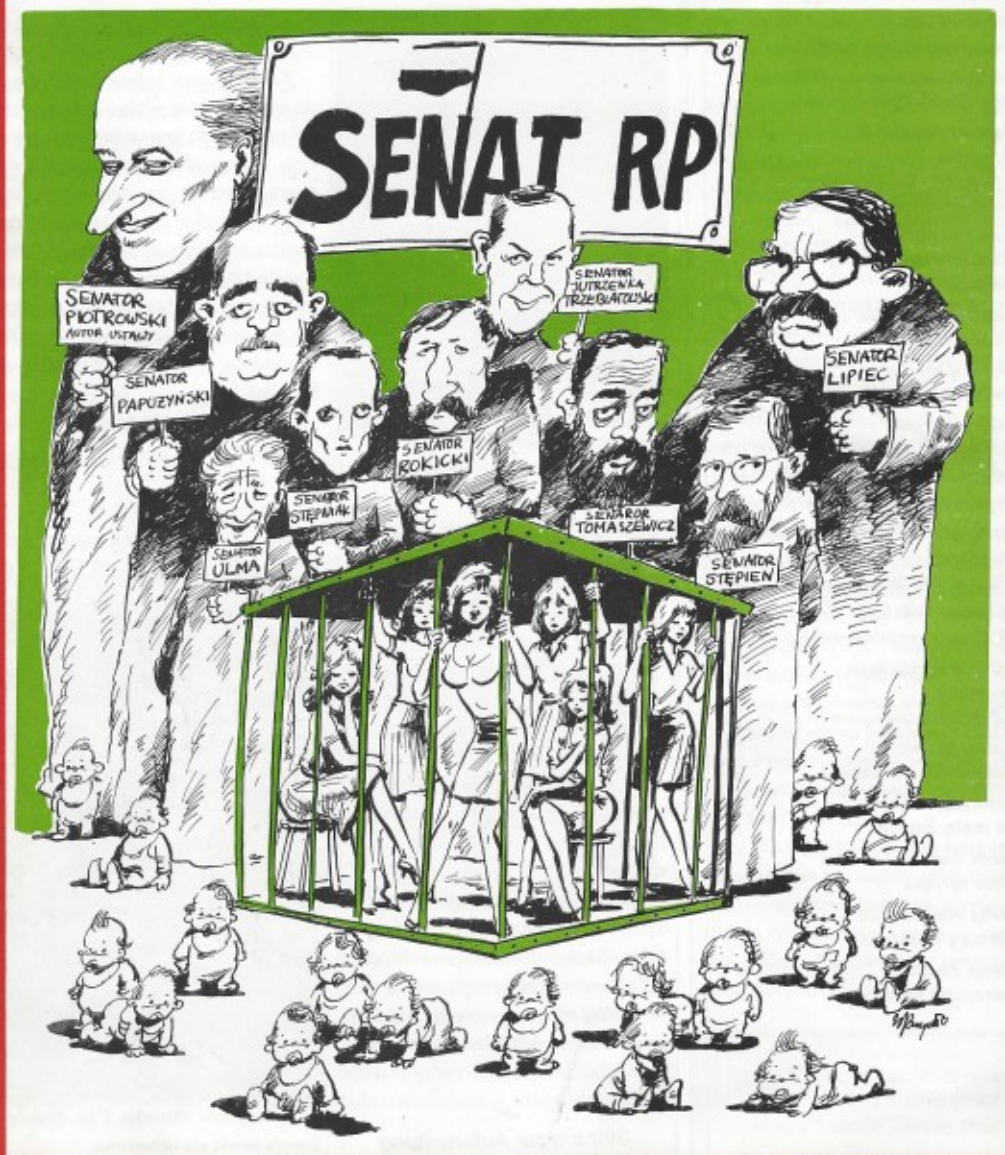
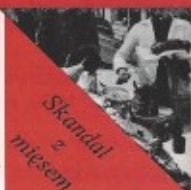


Warszawa-Berlin, październik 1990 r. Rok IX, nr 10 (166)

Pogląd

Magazyn polityczny:
krytyczny
niezależny
pozapartyjny
Cena 3500 zł



Edward Klimczak	
Zarzewie destabilizacji	2
Krzysztof Wolicki	
Pod przewodem Kościoła	3
Edward Klimczak	
"Herzlich Willkommen"	5
Byłbym lepszy...	
Rozmowa	
z mec. Wł. Siła-Nowickim, kandydatem do Belwederu	6
Ewa Ratulanka	
Codziennie zjadamy padliny	7
Katarzyna Dolińska	
Pusty koszyk	9
Maria Mamczur	
Polska bieda	11
Adam Kowalak	
Kadm zabija powoli	13
Maciej Rybiński	
Prywatne rozmyślenia	14
Religia w szkole	
Rozmowa	
z ks. bp. Wł. Miziołkiem	16
Zbigniew Mikołajko	
W cieniu katolicyzmu	20
Polska ziemiańska	
Rozmowa	
z Zyg. Rakowieckim	22
Cezary Stolarczyk	
Czerwona Barbarella	24
Annie Applebaum	
Za mało Żydów	26
Jacek Korczak-Mleczko	
Czas Igrzysk	29
Marta Waliszewska	
Lektury polecane	31
Marek Pieczara	
Bezruch i apatia	32

Numer zamknięto dn. 23.10.90 r.
Oddano do druku 26.10.90 r.
Projekt okładki: Witold Parzydło

MIĘSNY SKANDAL

STR. 7



Ile padliny zjadamy?

fol. Witold Krassowski

Padliny, jako mięsa niezdatnego do spożycia, nie wolno sprzedawać, ani używać do wyrobów wędliniarskich. Reguluje to rozporządzenie ministra zdrowia jeszcze z grudnia 1936 r. Artykuł Ewy Ratulanki dostarcza aż nadto dowodów, że obywatele kraju, który aspiruje do Europy, zjadają codziennie tony padliny. Bo tak jest taniej? Bo nikt rynku nie kontroluje? Bo ludzie nie wiedzą, co kupują?

Jeden wielki skandal.

RELIGIA W SZKOLE

STR. 16

Instrukcję o nauczaniu religii w szkołach wydało Ministerstwo Edukacji Narodowej, zaskakując tym chyba Sejm i Senat, a już na pewno nauczycieli, rodziców i uczniów. O licznych problemach związanych z powrotem religii do szkół państwowych, z sufraganiem diecezji warszawskiej, księdzem biskupem Władysławem Miziołkiem, rozmawia Anna Bernat. Dziennikarze "Poglądu" zebrali kilkadziesiąt opinii o tym, jak nauka religii przebiega. Publikujemy zaledwie kilkanaście, proponując wybór reprezentatywny i sprawiedliwy.



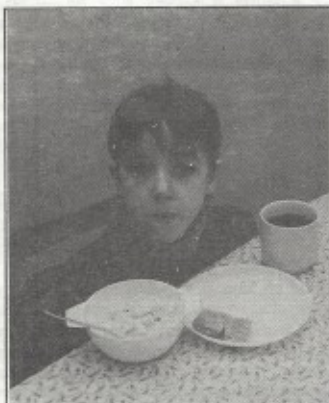
Bp Władysław Miziołek i bp Zdzisław Tranda lamią się opłatkami

fol. J. M. Goliśzewski

MINIMUM SOCJALNE

STR. 9

Obliczaniem tzw. minimum socjalnego, czyli zawartości "koszyka" podstawowych dóbr i usług niezbędnych do utrzymania rodziny, zajmuje się Instytut Pracy i Spraw Socjalnych, własne wyliczenia prowadzą NSZZ "Solidarność" i Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych. Z informacji, jakie tam zebrała Katarzyna Dolińska, wynika, że 50 proc. społeczeństwa żyje poniżej "kreski", a trzyosobowa rodzina, w której pracuje jedna osoba pobierając przeciętną pensję, nie jest w stanie utrzymać się na poziomie minimum socjalnego.



"Minimum" oznacza ubóstwo

fol. Juliusz Sokolowski / DELTA

ANTYSEMITYZM — ANTYPOLONIZM

STR. 26



"Polski antysemityzm to zastrzeżona domena tych, którzy nie bardzo mieszczą się w realnym świecie. Często polscy antysemici konstruują skomplikowane teorie spiskowe, aby wyjaśnić dlaczego w Polsce jest biednie i brzydko." - napisała w angielskim "Spectatorze" Anne Applebaum. Ale ani fantazja polskich antysemitów, ani ich wpływy nie są na tyle duże, aby odplącać się antypolonizmem i ponurymi opowieściami o "dobrych katolikach".

■ LUBLJANA. Słowenia dążąca do wyemancypowania się z federacji jugosłowiańskiej zażądała statusu obserwatora na najbliższej konferencji KBWE, co spotkało się z odmową Francji, Włoch i Niemiec. (LE POINT, 30 IX)

■ MOSKWA. Zakazane do niedawna w całym Związku Radzieckim dzieła duńskiego filozofa Sorena Kierkegarda robią ostatnio furorę wśród tamtejszej inteligencji, a jeden z moskiewskich teatrów wystawi "Dziennik uwodźciela". (LE POINT, 17-23 IX)

■ WILNO. Przywódcy trzech republik bałtyckich przyjęli z nieufnością rezultaty szczytu Bush — Gorbaczow w Helsinkach. Podejrzewają amerykańskiego prezydenta o zdradę w celu uzyskania poparcia Kremla dla polityki USA w Zatoce Perskiej. (LE POINT, 17-23 IX)

■ BAGDAD. Z 2500 Polaków znajdujących się w Iraku w momencie kryzysu część wyjechała, ale wielu pracuje w fabrykach zbrojeniowych i chemicznych lub pozostaje na intratnych kontraktach. (LE POINT, 17-23 IX)

■ WARSZAWA. Polska rozpoczęła przemieszczanie swoich wojsk w kierunku granicy sowieckiej; niedawno dwie dywizje przybyły na południowy wschód kraju. Przyczyną ruchów wojsk jest obawa przed niestabilnością w ZSRS. (LE POINT, 1-7 X)

■ WARSZAWA. Według przekonania niektórych kół rządowych w Polsce, zjednoczone dowództwo Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego mogłoby przestać istnieć od października przyszłego roku. (LE POINT, 1-7 X)

Uwaga!

Bieżące i archiwalne numery
"Poglądu" do nabywania w redakcji:
ul. Hoża 27 m 31, 00-661 Warszawa
tel. 22/218881

■ TOKIO. Doszło do "prywatnego" spotkania na szczycie: przedstawiciele największego japońskiego multikoncernu Mitsubishi (121,5 mld obrotów w 1989 r.) oraz zachodniemieckiego Daimler-Benz (45,2 mld dol) obradowali na temat wspólnych przedsięwzięć. (TAZ, 19 IX)

■ TIRANA. Albania, jako ostatnie państwo europejskie, złożyła wniosek o przyjęcie do KBWE, w skład której wchodzi 33 państwa Europy, Kanada i USA. (TAZ, 18 IX)

■ BONN. Jak donosi zachodniemieckie Towarzystwo Ochrony Konsumenta, statystyczne gospodarstwo domowe w RFN zadłużone jest na 15 tys. DM; łącznie Niemcy z Republiki Federalnej podjęli prywatne kredyty na sumę 240 mld DM (TAZ, 18 IX)

■ FRANKFURT nad Menem. Wg danych Banku Światowego (IWF) zadłużenie Brazylii, Meksyku i Argentyny wynosi łącznie 1,2 biliona dolarów USA. (TAZ, 18 IX)

■ HAMBURG. Wg innej statystyki Banku Światowego, 1 miliard ludzi na świecie żyje w biedzie, tj. zarabia rocznie mniej niż 370 dol. USA; zaś 30 mln dzieci umiera rocznie nie osiągnąwszy 5 roku życia. (TAZ, 15 IX)

■ MOSKWA. Strajki w Związku Sowieckim, spowodowane konfliktami narodowościowymi, pochłonęły tylko w pierwszym półroczu 10 milionów dni roboczych. Straty szacuje się na miliard rubli. (L'ÉVENEMENT DU JEUDI, 13-19 IX)

■ MOSKWA. Liczba emigrantów z ZSRR w ciągu ostatnich trzech lat stanowi już trzecią część całej sowieckiej emigracji powojennej; w I połowie tego roku wydano 234 tys. wiz. 130 tys. osób wyjechało do Izraela, 73 tys. do Niemiec i 17 tys. do Grecji. (L'ÉVENEMENT DU JEUDI, 13-19 IX)

■ WARSZAWA. W Polsce w ramach usuwania przeżytków edukacji totalitarnej z programów lektur szkolnych wyeliminowano "Gavroche'a" Victora Hugo jako dzieło "zbyt socjalistyczne". (L'ÉVENEMENT DU JEUDI, 13-19 IX)

■ LIPSZ. Jeden ze szpitali w tym mieście specjalizował się w lebotomii i sterylizacji niewygodnych chorych, często opozycjonistów zatrzymanych przez Stasi, która prowadziła tam również przesłuchania. Szpital, o ironio, nazywał się Klinika Waldheim. (L'ÉVENEMENT DU JEUDI, 30 VIII-5 IX)

Bliski Wschód

Edward Klimczak

Zarzewie destabilizacji

Konflikt o Kuwejt staje się — po wojnach w Korei i, Wietnamie — jedną z najpoważniejszych konfrontacji politycznych po II wojnie światowej. Tym razem jednak tzw. wielkie mocarstwa stojąc po tej samej stronie stworzyły wspólny front przeciwko Irakowi.

Kryzys w Zatocie Perskiej, niezależnie od jego finału, przemieni oblicze świata arabskiego, w którym następuje gwałtowna polaryzacja sił, zastępująca dotychczasowe układy. Dla arabako-muzułmańskich mas po jednej stronie Saddam Husajn jest narodowym bohaterem, jak legendarny Mahdi z Sudanu, głoszący przed stu laty "świętą wojnę" przeciwko brytyjskim kolonizatorom, czy zmarły dwadzieścia lat temu egipski przywódca Gamal Naser, który w latach 50-tych upaństwowił Kanał Sueski, wyrzucił z Nili Brytyjczyków i walczył z Izraelem. Na drugim biegunie znajdują się arabskie warstwy rządzące, a na ich czele elita finansowa: szejkowie, emirowie i królowie, obawiający się "wariata z Bagdadu" jak ognia, bo chce on odebrać im ich naftowe włości.

Dowodem poparcia arabskich mas dla Husajna są tłumne proirackie demonstracje, jakie po zajęciu Kuwejtu miały miejsce w Jordanii, Tunezji czy w Algierii, z okazji powrotu z wygnania pierwszego prezydenta tego państwa Ben Belli, obalonego w 1965 r.

Oburzenie religijnych muzułmanów wywołuje obecność obcych wojsk w kraju Mekki i Medyny. Przecież amerykańskie żołnierki spacerują po arabskich miastach z odkrytymi twarzami, trzymając pod rękę czarnoskórych boys, a Murzyni w tym kraju jeszcze niedawno mieli status jedynie niewolników. Teraz zaś naruszają tu nie tylko islamskie prawo, ale i burzą "święty" porządek. Bezsilna policja religijna zaskica z wściekłości zęby. Ale za obronę szejkowie gotowi są płacić nie tylko dolarami, godzą się nawet na upadek obyczajów.

W obozie irackiego dyktatora znalazł się również przywódca Palestyńczyków Jasser Arafat, który tym samym zrezygnował z saudyjskich miliardów złożonych na utrzymanie jego organizacji. Przegrana Husajna będzie więc przegrana Palestyńczyków i ich dążeń do własnego państwa. Do grona popleczników Husajna z pewnością dołączy na razie wstrzemięźliwy Kaddafi z Libii, który przecież nigdy nie przebaczył Amerykanom bombowego ataku na swoją kwatery. W obozie irackim znalazł się również Iran, mimo niedawnej wojny między tymi krajami.

Gospodarcza blokada Iraku ma luki w Jemenie i Jordanii, mimo że król tego ostatniego kraju, również Husajn, zapewnił, iż będzie uczestniczył w sankcjach przeciwko Irakowi, aczkolwiek nastroje w jordańskim społeczeństwie są proirackie. Wpływ Husajna dyktator i jego już dwumilionowa armia, czwarta pod względem siły w świecie, jeszcze długo nie zaczyna konać z głodu. Naprzeciw nich stało pod koniec września pół miliona żołnierzy sił międzynarodowych, z czego połowę stanowili Amerykanie. Wyłącznie ich miesięczny pobyt nad Zatoką kosztuje grubo ponad miliard dolarów, a żołnierzy i sprzętu przybywa z każdym dniem; według wstępnych obliczeń amerykańskich ekspertów wojskowych rachunek wyniesie do końca września przyszłego roku 17,5 mld dol. Impreza jest więc kosztowna i należałoby ją ograniczyć w czasie.

Husajn oprócz armii ma w ręku około dziesięć tysięcy obokrajowców, w tym ponad tysiąc Amerykanów, jako zakładników. Atakując Irak prezydent Bush wydałby na nich wyrok śmierci, a szybkie pokonanie Iraku kosztowałoby przypuszczalnie życie ponad 20 tys. własnych żołnierzy. Cena ogromna. Amerykanie zdecydowali się na jej zapłacenie tylko w jednym wypadku — jeżeli otrzymają informację, że Husajn jest w posiadaniu broni nuklearnej lub chemicznej zdolnej stworzyć globalne zagrożenie. Atak na Bagdad stanie się wówczas koniecznością. Tymczasem nadzieje pokładają w sankcjach i blokadzie.

Najlepszym scenariuszem byłoby przesilenie w Bagdadzie lub pucz oficerów pozbawiający Husajna władzy. Bo wojna z popieranym przez arabskie masy Irakiem niekoniecznie musi być — na dłuższą metę — zwycięska. Tak czy inaczej tymczasowy pobyt Amerykanów nad Zatoką Perską może stać się trwałą prowizorką, bo w tym rejonie, w którym przecinają się tak sprzeczne interesy, trudno będzie o trwalszy spokój. Jak długo więc rozwinie kraje przemysłowe uzależnione są od arabskiej ropy, tak długo niespokojny Bliski Wschód będzie ogniskiem destabilizacji dla światowej gospodarki.

Berlin, dn. 01.10.90

Edward Klimczak

Integryzm katolicki

Krzysztof Wolicki

Pod przewodem Kościoła

Kościół katolicki dopuszcza się właśnie w Polsce swego "błędu stulecia", a piszę "w Polsce", choć zdaje się, że zasięg tego zwrotu politycznego jest nieporównanie szerszy, nawet, być może, powszechny ("katolicki"). Jest to zwrot w kierunku nowego integryzmu, oznaczającego, w skrajnych przypadkach, rekonstrukcję kulturalnego, społecznego i nawet politycznego życia "narodów katolickich" wokół Kościoła i pod przewodem jego hierarchii.

Polska jest właśnie jednym z takich skrajnych, prawdę powiedziawszy zgola już nielicznych w świecie przypadków. Przyczyn zwrotu zdaje się być kilka. Najważniejszą nazwałbym zagrożeniem próżnią. Upadek komunizmu i ideologiczny zmierzch marksizmu pozostawia, jako zwycięzcę na scenie, cywilizację rozwiniętego społeczeństwa kapitalistycznego, z jego indywidualizmem, agnostycyzmem, relatywizmem i zwłaszcza ową aideoedukacją, której Kościół, i słusznie, lęka się bardziej niż totalitarnych prześladowań. Tamte bowiem umiał przekształcić w szansę i obrócić w swój triumf, jak jednak zatrumfować nad próżnią, miłą, mroczną i na pozór nie stawiającą oporu? Nowy integryzm jest próbą odpowiedzi, wypełnianiem pustki. Nie trudno dostrzec, że wśród innych, odnoszących sukcesy integryzmów na naszej planecie mógł również oddziaływać na rzecz przypuszczalnego zwrotu.

W porównaniu z oczekiwaniami rozbudzonymi przez Sobór Watykański II obecny czas zdaje się cechować pewne rozczarowanie. Jakoś nie spełnia się nadzieje na holderlinowski "powrót zbiegłych bogów", na spontaniczne pojednanie cywilizacji człowieka z Bogiem: świętych przyzywa wielu w kalendarzu, ale świętości w życiu? Innymi słowy, rośnie rolę Kościoła jako hierarchii i organizacji, jako trenera i przywódcy, mniej zaś, jako terenu spotkania.

Jest niezmiernie dla nowej sytuacji znamienne, że Kościół występuje w swych staraniach pod hasłami, które były mu wspólne z innymi nurtami zwalczającymi totalitaryzm, takimi zwłaszcza jak prawa człowieka lub zdrowy rozsądek i rozumne korzystanie z nauki i techniki. W żadnym razie nie należy sądzić, iżby dla rzeczników Kościoła było to odwołania koniunkturalne lub nieszczerze. Przeciwnie, lecz właśnie dlatego tak trudno im zauważyć, że niepostrzeżenie przemieszczają sens tych hasel i zawłaszczają je dla siebie, czyniąc z tego, co wspólne, kość niezgody. Klinicznego wręcz przykładu takich procedurów dostarczyli rzecznicy Kościoła walcząc o ustawę penalizującą aborcję. Grzech utożsamili z przestępstwem, by wezwać państwo do karania kobiety za to, co czyni sama ze sobą. Aby dowodzić, że zapłodnione jajo jest już człowiekiem, odwołali się do nauk biologicznych. Nie mogli by tego dokonać pozostając w sferze własnej filozofii religijnej, to ciało i dusza, a duszy nie nadaje chyba jednak plennik wnioskujący w jajo... Ale biologia ze swej strony o człowieczeństwie rozstrzygać w ogóle nie jest zdolna: biolog inaczej niż filozof i teolog nie rozważa o człowieku, lecz tylko o strukturach i procesach morfogenetycznych. A w morfogenecie jest wiele "progów", zmian jakości, i każdy, aż po poród, może być uznany za rozstrzygający: dla biologii, inaczej niż dla filozofii i teologii, można być "trochę" człowiekiem, a ponad połowę zapłodnionych jaj kobieta roni w sposób naturalny, czy to znaczy, że Ktoś zabija co drugiego człowieka już w łonie matki? Nauka zrzesza nie feruje nigdy orzeczeń ostatecznych... Proszę zauważyć, bo to wydaje się bardzo ważne, że nadużywając w tej debacie nauki rzecznicy Kościoła nieświadomie podważyli zarazem prawdy własnej wiary. Identyfikację co do struktury są też skutki integryzmu w innych dziedzinach. Zwłaszcza w polityce za udział we władzy i pobieranie od niej haraczko Kościół zapłacił może snadnie zniszczeniem własnych korzeni i obrócić triumf w klęskę.

Nigdy nie podzielałem wybujałych nadziei w rodzaju wyrażonych przez Adama Michnika w "Kościół, lewica, dialog", nie sądziłem jednak, że tak szybko np. ludzie "Tygodnika Powszechnego" znajdują się w mniejszości we własnym obozie. Po Soborze Watykańskim II można było istotnie ufać, że Kościół odnalazł swój czas i że w epoce, kiedy spadkobiercy Rewolucji Francuskiej definiływie ją, jak powiada Francois Furet, rozliczyli i zamknęli. On ze swej strony pogodził się z faktem, że Oświecenia niepodobna odwołać lecz i to prawda, że namiętności czasu Restauracji nie sprzyjają rozsądkowi.

Krzysztof Wolicki

Jednym
zdaniem

■ MOSKWA. W sowieckich tajnych arsenalach broni brakuje prawie 250 tys. sztuk uzbrojenia, w tym m.in. pistoletów, broni artyleryjskiej, min, a nawet sześciu wyrzutni raketowych "Strzala", sowieckiego odpowiednika Stingera. (L'EVENEMENT DU JEUDI, 30.VIII-5.IX.90)

■ MADRYT. Były szachowy mistrz świata Anatolij Karpow powiedział, że Gorbaczow znajduje się w sytuacji gracza, dla którego jedyną możliwością wyjścia z beznadziejnej sytuacji jest ruch polegający na zastosowaniu roszady, tj. równoczesnego przesunięcia króla i wieży. Kto jest kim? (EL PAIS, 25. VIII.90)

■ BERGEN. Żeby mleczne, które wypadają dzieciom polskim, węgierskim i wschodniemieckim badane przez naukowców uniwersytetu w Bergen (Norwegia) wykazały dużą zawartość ołowiu, miedzi i cynku. (LE POINT, 3-9.IX.90)

■ LENINGRAD. Według Dymitra Macedońskiego, uczestnika leningradzkiej konferencji poświęconej prawom człowieka, liczba więźniów politycznych w Związku Radzieckim wynosi 170-180 tys. Większość światowych organizacji praw człowieka oceniało w latach siedemdziesiątych tę liczbę na 10 tys. (LIBERATION, 6.IX.90)

■ BONN. W tym roku już 120 tys. osób wystąpiło w RFN o azyl, szacuje się, że do grudnia będzie ich 180 tys.; Polacy pod względem liczby zajmują piąte miejsce (5,5 proc.) po Rumunach, Turkach, Jugosłowianach i Libańczykach. (LIBERATION, 15-16.IX.90)

■ SOFIA. Bułgaria była jedynym krajem Europy Wschodniej, który w tym roku świętował rocznicę wejścia armii radzieckiej i przejęcia władzy przez siły antyfaszystowskie: 9 września 1944 r. (LE MONDE, 11.IX.90)

POLSKA WSTRZYMUJE IMPORT ŚMIECI Z RFN

Urząd celny ze Szczecina nie dopuścił do wwozu na teren RP kolejnego 400-tonowego śmiecionośnego ładunku z RFN. Statek załadowany "plastikowymi opakowaniami, kablami, wiadrami i chemikaliami" został odesłany z powrotem. Zachodniobrzeński TAGES-SPIEGEL (5 IX 90) podaje, że w ciągu kilku ub. tygodni 6 podobnych ładunków - na skutek nieuwagi polskich celników - bez problemu dostało się do Polski.

Przedstawiciel duisburskiej firmy HTA twierdzi, że chodzi tu o "odpady hutnicze", z których jednym z zakładów hutniczych w Katowicach odzyskuje się cynk. Już od 9 miesięcy firma HTA transportuje do Polski trujące śmieci, a odbiera sztaby cynku, który z kolei sprzedaje zachodnioniemieckim hutom. Według umowy Polska miała przerabiać ok. 60 tys. ton odpadów rocznie.

O aferze ze śmieciami "Pogład" donosił w numerze 7/8.

POLACY W CZOLÓWCE

Według analizy zachodnioniemieckiego klubu samochodowego (ADAC), Polacy z 21 proc. zajmują pierwsze miejsce w Europie w statystyce wypadków samochodowych spowodowanych pod wpływem alkoholu; tuż za Polską, na drugim miejscu z 19 proc. plasuje się Dania. Najbardziej zdyscyplinowani są kierowcy z Belgii i Hiszpanii z odp. 2 proc. i 3 proc. (TAZ 12 IX 90).

EUROPE WSCHODNIĄ CZEKA CIEŻKA ZIMA

Zachodni specjaliści od gospodarki utrzymują, że kraje Europy Wschodniej, które weszły na drogę przebudowy gospodarki, czeka trudny okres. Wzrost cen światowych na ropę naftową do ok. 30 dol. za baryłkę, wywołany agresją Iraku na Kuwejt oraz ograniczenie przez ZSRS dostawy ropy o 30 proc. przyczyni się w ciągu najbliższych miesięcy do kryzysu energetycznego, a nawet załamania się gospodarek tych krajów.

Przy obecnych cenach ropy Bułgaria musiałaby przeznaczyć na zakup paliw wszystkie wpływy dewizowe, Czechosłowacja 90 proc., Polska 33 proc. a Węgry 21 proc. Szacuje się, że byle kraje komunistyczne poniosą dodatkowe koszty na ok. 15 miliardów dolarów. Powstała sytuacja utrudnia również to, że ZSRS - dotychczasowy główny dostawca ropy i gazu



fol. Władimir Krenser

ziemnego - z dniem 1 stycznia 1991 przechodzi na rozliczenia dolarowe, oczywiście po cenach światowych.

Tak więc mieszkańcom tej części Europy czeka ciężka zima: niedograne i słabo oświetlone mieszkania, wysokie ceny paliw, trudności w zaopatrzeniu w benzynę itd. By zaspokoić potrzeby na ropę i gaz ziemny dostawcami z ZSRS, kraje RWPG musiałby podwoić produkcję eksportową, co oczywiście przy obecnym spadku produkcji i wzrastającym bezrobociu nie jest możliwe.

Kraje Europy Wschodniej potrzebują nie tylko nowych kredytów, ale przede wszystkim umowań starych, które - bez ZSRS - opiewają na sumę 80 mld dolarów. (TAZ, 13 IX 90)

ZIELONE ŚWIATŁO DLA CZECHOSŁOWACKICH PRACOWNIKÓW SEZONOWYCH

Na wniosek rządu bawarskiego, w najbliższej przyszłości nasi czechosłowaccy sąsiedzi będą mogli oficjalnie pracować w przygranicznych terenach Republiki Federalnej Niemiec - podaje zachodniobrzeński, lewicowy TAZ (14 IX 90). Zniesiony zostanie zakaz (z 1973 r.) zatrudniania w RFN obywateli z krajów EWG. Ok. 100 tysięcy Czechów i Słowaków znajduje się obecnie w RFN na sezonowe prace, przede wszystkim w rolnictwie. Wcześniej warunki codziennego powrotu do miejsca zamieszkania (w Czechosłowacji) lub zatrudnienia były tylko 2 dni w tygodniu.

USA Z POMOCĄ SOWIECKIM PAŁACZOM PAPIEROSÓW

Dwa amerykańskie koncerny, Morris i R.J. Reynolds, walczące z coraz szerszą i skuteczniejszą kampanią antynikotynową we własnym kraju, szybko zareagowały na braki papierosów na sowieckim rynku. 20 miliardami Marlboro i 14 miliardami papierosów marki Windson "uratują życie" obywatelom Rosyjskiej Republiki ZSRS.

BEZKARNOŚĆ DLA BYŁYCH AGENTÓW

Tysiące tajnych agentów, którzy pracowali na Zachodzie dla Niemiec Wschodnich może spać spokojnie - pisze L'EVENEMENT DU JEUDI, 6-12 IX 90. Marcus Wolf, były szef wywiadu wschodnioniemieckiego oświadczył, że po zjednoczeniu nie będzie wyciągano się wobec nich żadnych konsekwencji prawnych. Prokurator Generalny RFN zaakceptował stanowisko, że agenci NRD szpiegujący "w dobrej wierze" dla swojego kraju nie będą represjonowani.

TEOLOGOWIE OSTRZEGAJĄ PAPIEŻA

Jan Paweł II ukończył prace nad nowym dokumentem. Według niektórych teologów nada on potępieniu antykoncepcji charakter dogmatu równego tym o boskiej naturze Chrystusa i Niepokalanemu Poczęciu Marii Panny. Przed miesiącem 22 teologów europejskich podpisało wspólny dokument ostrzegający, że taka inicjatywa "przyspieszy utratę wiarygodności Kościoła" - informuje L'EVENEMENT DU JEUDI, 6-12 IX 90.

REPORTAŻ Z MOSKWY

"Po zniknięciu masła, mleka, chleba, soli, cukru, papierosów i owoców kraj zbliża się do doświadczenia niedostatku innego rodzaju: braku pieniędzy". Na wielu stacjach metra nie było monet pięciokopiejkowych, teraz zniknęły banknoty - z powodu braku farby drukarskiej. Urzędnik odpowiedzialny za sprawę druku powiedział na łamach "Komsomolskiej Prawdy", że sytuacja jest katastrofalna, farby zostało w kraju na 2-3 tygodnie, gdyż z powodu opóźnień płatniczych ZSRS, państwa zachodnie przestały przysyłać komponenty. LIBERATION, 13 IX 90 pisze: "Marzenie Marksa wreszcie się spełniło: znosi się pieniądze".

Granica polsko-niemiecka

Edward Klimczak

"Herzlich Willkommen"

Wrześniowa decyzja rządu Mazowieckiego wprowadzająca wizy dla Niemców z byłej NRD, a następnie jej odwołanie w początkach października, noszą wszelkie cechy działań nieprzemysłowych, żeby nie powiedzieć amatorskich. Gdy tylko z Bonn nadeszła wiadomość, że w dniu zjednoczenia zniesiony zostanie dla Polaków bezwizowy wjazd do Niemiec, Warszawa spontanicznie zripostowała owo zarządzenie na zasadzie "lustrzanej", jak to w nowomowie ujął stołeczny dziennikarz byłej gazety solidarnościowej. Jak wy nam - tak my wam! Jesteśmy biedni, ale mamy swój honor. Niemcy też muszą mieć wizy.

Decyzję podjęto z pominięciem wszelkich racjonalnych przesłanek, koniecznego rachunku ekonomicznego, sondażu sytuacji nad niemiecką granicą oraz bez prognozowania skutków takiego zarządzenia. Podjęto za biurka, wg najlepszych poeetowskich wzorów. Nie postawiono pytania, czyje interesy decyzyja ta naruszy, jakie koszty poniosą dziesiątki tysięcy Polaków w przygranicznych rejonach, którym wolnorynkowa rzeczywistość po obu stronach Odry otworzyła od kilku miesięcy nowe możliwości zarobkowania poprzez handel z przyjeżdżającymi na weekendowe zakupy Niemcami. Handel za dewizy, podobno tak potrzebne Polsce. Chodzi o sumy niemałe, bo podczas ostatniego bezwizowego weekendu w dn. 30 września do Polski przyjechało na zakupy kilkaset tysięcy Niemców. W niemieckiej telewizji pokazano wielokilometrowe kolejki samochodów z nalepką D godzinami oczekujących na wjazd do Polski.

W Warszawie zagrąbiono na odwrót, gdy z pogranicznych miast dotarły protesty Polaków, w tym prezydentów dwóch miast, domagających się dla niemieckiej klienteli wolnego przejazdu przez Odrę i Nysę. Protesty ze wszech miar słuszne, bo komuż sprzedawać nadwyżki żywnościowe, tekstylne czy obuwnicze. Odwołanie decyzji o wizach dla Niemców było jeszcze bardziej amatorskie, niż jej wprowadzenie. Rząd Mazowieckiego nie dostrzegł, że Niemcy się zjednoczyli. Znosząc wizy jedynie dla byłych emigrantów utrzymuje sztuczne podziały, odbudowuje zburzony mur berliński. Oświadczenie rządu o tymczasowości tego zarządzenia (do dn. 7-go listopada) jest kolejnym dowodem niekonsekwencji, a nawet braku koncepcji polityki wobec Niemiec, co dla polskich interesów jest szkodliwe, bo Niemcy to nie jakieś odległe, trzeciorzędne państwo europejskie, z którym stosunki nie rzucają na nasz byt narodowy - Niemcy to nie tylko nasz sąsiad, ale i najpotężniejsza gospodarka Europy, współpracując z którą możemy odnosić korzyści. Polityczna szamotanina w stosunkach z takim sąsiadem nie jest bieżąca dla jakiegokolwiek współpracy i stabilności stosunków. Jakże jest uzasadnione utrzymywanie wiz

dla "bundesowskich" Niemców dysponujących przecięt kilkakrotnie wyższą siłą nabywczą niż "bracia i siostry" ze wschodniej części Niemiec?

Rząd w Warszawie nie pomyślał o tym, że masowy odpływ niemieckiej marki za Odrę - kilka, a nawet kilkanaście milionów tygodniowo - zmusi umiających rachować polityków niemieckich, i to bez prób ze strony polskiej, do liberalizacji przepisów wizowych dla Polaków. Przecież niemiecka gospodarka nie może dopuścić do tego, aby Polacy wydali niemieckiej marki w Wiedniu, Kopenhadze czy Ystad, zamiast wprowadzić je z powrotem w ten sam - niemiecki - krwioobiegi w Hamburgu, Berlinie czy Dreźnie.

Po dwuletnich występach polskich kieszonkowców, włamywaczy, rabusiów czy wandalów w Berlinie Zachodnim Niemcy Polaków się boją. I jest to zrozumiałe. W 1982 r. Polak w Berlinie Zachodnim, a i też w RFN-je, był synonimem walczącego o wolność wschodu Europy. Słowo "Solidarność" otwierało tu wiele drzwi. Do Polski wysyłano miliony paczek. Dzisiaj w tym mieście Polak kojarzy się ze złodziejem, oszustem, ulicznym spekulantem dewastującym parki i zamieniającym klatki schodowe w wychodek. A więc "raus" i nie bez racji.

A przecież odsianie tych stu tysięcy "zadziurnionych" od miliona uczciwych Polaków udających się do Niemiec jest technicznie łatwe do wykonania. Nie było to możliwe w przeszłości, gdy do NRD wpuszczano bez wyjątku wszystkich, a Berlin Zachodni był miastem otwartym, bez kontroli granicznej. Zamiast wbijania do polskich paszportów wiz, których wydawanie i kontrola jest czasochłonna, można by Niemcom zaproponować wprowadzenie plastikowych kart wizowych z fotografią właściciela, na wzór kart identyfikacyjnych personelu portów lotniczych, zachodnioloteckich dowodów osobistych czy kart kredytowych. Wznieść takiej karty do granicznego terminalu

komputera centralnego lub podanie jej numeru, też przez radiotelefon, umożliwia natychmiastową kontrolę danych. Plastikowa karta (cena ca 1 DM) z magnetycznym polem może być dowolnie programowana jako wiza jednorazowa, wielokrotna czy stała. Nie można jej sfalszować, bo nie sposób zmienić danych w komputerze, wywoływanych numerem karty. Do kontroli wiz nie potrzeba dużego personelu, wystarczy ustawić automatyczne wejścia i szlabany, jak na nowoczesnym parkingu.

Jeżeli nie wpuszczają nas do Europy, bo ją dewastujemy, to zaproponujmy nasze wchodzenie do niej jak do muzeum na wystawę sztuki - za okazaniem biletu i po uprzednim zostawieniu bagażu w szatni. Zaproponujemy oddzielenie ziarna od plew, uczciwych od lotrzyków, dla których wstęp na odraźniaki most musi być zabroniony. Wtedy my - w Berlinie Zachodnim nie musielibyśmy się czerwienić za tę kryminalną hałastę, a przyjeżdżający do nas goście z Polski mogliby wchodzić do niemieckich domów z podniesionym wzrokiem.

Zadaniem dziennikarza nie jest - jak wyżej - postulowanie rozwiązań problemów politycznych, co społecznych lub podpowiadanie politykom odpowiedzi jak w szkole podstawowej, oglądając jednak z bliskiej dali tę krajową szamotaninę, i to nie tylko w polityce zagranicznej, trudno pozbędzie się emocji i ograniczyć do opisu faktów i suchego komentarza.

Mur między Wschodem i Zachodem, ten znad Łaby i z Berlina Zachodniego, może zostać przetrząsany nad Odrę i Nysę. Będzie to mur między bogatymi i biednymi. Takie obawy artykułował w roku ubiegłym Ludwig Melhorn, przyjaźniący Polsce i "Solidarności" wchodnielniemiecki działacz zasłużony dla emigracyjnej rewolucji grupy "Demokracja Teraz". Ostrzegł, że Niemcy zajęci własnym zjednoczeniem mogą odłożyć od acta pomoc dla Polski i innych krajów Europy Wschodniej. Obawy Melhorna nie powinny się sprawdzić. Jeżeli już jakiś mur oddziela Polaków od Niemców, to należy go rozbić, a nie umacniać. Czynimy to oświadczając polskie granice dla Niemców. Pozwalamy Europie wchodzić do Polski, a Polsce do Europy, by ludzi przyjeżdżających do nas siłą rzeczy angażujemy w swoje sprawy, zbliżamy ich do nas, dajemy się im poznać, tak czy owak czynimy ich adwokatami naszej sprawy, inspirowany do obalenia po swojej stronie sztucznych barier. Powtarzanie obecnie, nawet po obu stronach Odry, historycznie słusznego "przebaczymy i prosimy o przebaczenie" nie wiecie nas naprzód, dzisiaj musimy powiedzieć "herzlich willkommen" (serdecznie witamy), aby od naszych sąsiadów usłyszeć jutro to samo.



Wizy i drobna kontrola

Byłbym lepszy niż Wałęsa albo Mazowiecki

Rozmowa z mec. Władysławem Siła-Nowickim, prezesem Chrześcijańsko-Demokratycznego Stronnictwa Pracy

- W Pana przedwyborczym przemówieniu znalazłem zdanie: "Nie zgadzamy się na prymat ekonomii nad duszą ludzką; prymat ekonomii nad tym, co jest niezbywalnym dla człowieka wolnego". Brzmi efektownie, ale nie wiem, Stronnictwu chodzi o powszechny dobrobyt czy o zgrzebność życia, o bardziej "być" niż "mieć"?



- Na pewno bardziej chodzi nam o to, aby "być", co nie znaczy, żeby było dla nas obojętne, aby "mieć".

- Zarzuca Pan rządowi Tadeusza Mazowieckiego, że gospodaruje źle, stosując w dodatku "wulczy kapitalizm". W jaki sposób Pana program godzi wolny rynek ze szczególną ochroną socjalną?

- Wolny rynek, jeśli nie to "szczelną", to w każdym razie mającą wielkie znaczenie dla człowieka ochroną socjalną, godzi się bardzo dobrze w wielu państwach zachodniej Europy i pozaeuropejskich. Nie jest więc to nic nadzwyczajnego.

Ciągle uważa się u nas za nadzwyczajne to, co w nowoczesnym kapitalizmie okazuje się prostym i normalnym, choć tamten ustrój też nie jest idealny.

- Mówi Pan o możliwości powrotu totalitaryzmu, niebezpieczeństwie ukształtowania się monopartii. Z jakimi siłami i osobami wiąże Pan to zjawisko?

- Z tymi wszystkimi, którzy udzielony im przez komunistów monopol na opozycję chcą, po wyeliminowaniu komunistów, zamienić na monopol władzy. Słowni, którzy istotę rzeczy widzą tylko w zmianach personalnych.

- "Społeczeństwo nie widzi, że jest manipulowane", powtarza Pan od kilku miesięcy. Jest to aż tak zreżymowana manipulacja? Społeczeństwo jest niedojrzałe? A może jest mu już wszystko jedno?

- Manipulacja jest istotnie bardzo zreżymowana. Społeczeństwo po 45 latach władzy komunistycznej odzwyczajone jest od politycznego myślenia, można to uznać za formę niedojrzałości. Ale w pewnym momencie może przestać mu być wszystko jedno. Tego się boję, choć może mogę się bać mniej niż inni.

Dałem temu wyraz w moim artykule "Nie igrać z ogniem".

- Pańskie Stronnictwo liczy skromne 2,5 tys. członków. Myślał Pan może o koalicji, a jeśli tak, jakie partie i ugrupowania miałyby w niej uczestniczyć?

- Liczymy na współpracę polityczną i ze Zjednoczeniem Chrześcijańsko-Narodowym, i ze Stronnictwem Ludowym - wszak byli w Polsce rządy "Chjeno-Piasta". Liczymy również na inne ugrupowania i stronnictwa. Jesteśmy otwarci na współpracę ze wszystkimi ludźmi dobrej woli - jesteśmy przecież Centrum.

- Jakich sprzymierzeńców ma Stronnictwo za granicą? A przy okazji: jak Pan ocenia politykę zagraniczną rządu Mazowieckiego?

- Nie chcę w tej chwili oceniać polityki zagranicznej rządu T. Mazowieckiego. Jestem wiceprezydentem IDC - światowej Unii Chrześcijańskich-Demokratów. Są to dla nas stronnictwa bratnie.

- Co Polska może dać Europie, jeśli nie teraz to za 10, 15 czy 20 lat?

- Wiem, co Polska dała Europie, pierwsza stawiając czoło Niemcom, wcześniej Związkowi Radzieckiemu, odrzucając żądanie wejścia do paktu antykominternowskiego. Wiem też, że Europa odwdzięczyła się za to Polsce przy zakończeniu wojny w sposób bardzo wątpliwy, a Związek Radziecki w dniu 17 września 1939 r. w sposób zupełnie niewątpliwy. Moim zdaniem teraz Europa powinna coś dać Polsce i to jak najprędzej.

- Jak ocenia Pan przebieg kampanii prezydenckiej? Czy ma ona szanse odbudzić masy społeczne, które, Pana zdaniem, znajdują się w głębokim uśpieniu?

- Od ocen na razie chcę się powstrzymać. Mam nadzieję, że masy społeczne, które nie brały udziału w wyborach majowych roku bieżącego, a częściowo i w wyborach czerwcowych roku 1989, okażą teraz większą aktywność.

- Co Pan może powiedzieć o swoich kontrkandydatach, albo może inaczej: co ma Pan, a czego nie ma Mazowiecki i Wałęsa, skoro zdecydował się Pan z nimi konkurować?

- Uważam, że dla rozwoju demokracji w Polsce wybór mojej skromnej osoby byłby lepszy niż wybór Wałęsy albo Mazowieckiego. Ale jestem przekonany, że Polska wszystko wytrzyma.

Pytania zadawał:
Adam Kowalski

fot. Jarosław M. Gólszewski

Ewa Ratulanka

Codziennie zjadamy padlinę

Od pewnego czasu Polacy jedzą padlinę dodawaną do "pysznych, wiejskich" kielbas, sprzedawanych wprost ze szmat rozłożonych na chodnikach i przyczepach samochodowych. Zainteresowane instytucje i resorty są bezradne; ani nie można tego zjawiska uchwycić, jedynie domniemywa się jego istnienie, ani nie można mu zapobiec.

Domniemywa się na podstawie dziwnych zbieżności kilku faktów: oto w tym roku krowy i świnię masowo przestały padać, akurat od czasu, kiedy mamy wolny rynek i każdy może sprzedawać co chce. Po wsiach, jak mówią, co druga stodoła to ubojnia, co drugi garaż - masarnia. W tym też roku Państwowa Inspekcja Sanitarna odnotowała niemal dwukrotny wzrost zachorowań na włośnicę, a choroby tej można się nabawić wyłącznie przez spożycie mięsa zakażonego włośnicami skręconym.

Padlina, według naszych przepisów, to zwierzę padłe w wyniku choroby lub wypadku. Mięso takie nie nadaje się do spożycia nie tylko dlatego, że zawiera bakterie i wirusy choroby, na którą zdechło. Może się zdarzyć, że zdrowa świnka zapłacze się w jakieś druty i uduśi zanim nadejdzie pomoc, i jej mięso również jest niebezpieczne do jedzenia. Prawidłowy ubój polega na wykrawaniu zwierzęcia, co możliwe jest zaraz po ogłuszeniu go. Jeżeli samo padnie, w krótkim czasie zarazki i bakterie z przewodu pokarmowego przenikają do tkanki mięsnej, m.in. bakterie z grupy coli i salmonella, które wywołują biegunki, dur brzuszny, paratyfusy.

Padliny, jako mięsa niezdatnego do spożycia, nie wolno sprzedawać ani używać do wyrobów wędliniarskich. Reguluje to rozporządzenie ministra zdrowia jeszcze z grudnia 1936 roku!

Alte przepisy są dla naiwnych lub dla uczciwych, musi więc istnieć gęste, wspomagające sito kontrolne. Niestety: dzisiaj w Polsce nikt, absolutnie nikt, nie panuje nad tym zjawiskiem w całości. Żaden resort ani żadna instytucja nie ma pełnych danych, ile zwierząt pada, na co i co się dzieje z padliną. Istnieje jedynie ustawowy obowiązek zgłaszania chorób zaraźliwych, jak pryszczycza czy wścieklizna, ale są to stosunkowo rzadkie przypadki.

Mamy do czynienia z danymi szacunkowymi, ponieważ panuje pełna dowolność, np. państwowe lecznice weterynaryjne prowadzą wpisy w książkach przyjęć, prywatne nie muszą, a coraz więcej jest prywatnych. Podobnie jest w zakładach utylizacyjnych przerabiających padłe sztuki na mączkę.

Kiedyś pośmiertne życie świni wyglądało tak: najpierw lekarz weterynarii musiał ją pokroić i zaświadczyć na piśmie, na co padła. Potem Bacutil przyjmował truchło na przemiał i również wystawiał zaświadczenie.

Z tymi papierami chłop jechał do PZU, gdzie dostawał wysokie odszkodowanie. Świnka była podwójnie odnotowywana: w statystykach zrzeczenia przedsiębiorstw przetwórstwa przemysłu paszowego Bacutil oraz w statystykach PZU, dzięki temu co roku spływały do centrali pełne informacje z całego kraju.

Powoli zaczęło się to zmieniać, Bacutil płać coraz mniej za zdechłą świnię, transport do odległych zakładów utylizacyjnych był coraz droższy, chłopu bardziej opłacało się zakopać lub sprzedać padlinę lisiarzowi. Np. dwa lata temu Bacutil za krowę płać 60 zł, a lisarz 6 tysięcy zł. Potem zrzeczenie przekształciło się w spółkę 13 przedsiębiorstw, a w spółce każdy robi, co chce, nie ma już obowiązku prowadzenia statystyk, więc jedno źródło informacji wyszło.

Zmieniło się również w PZU. Do czerwca 1989 r. ubezpieczenie zwierząt domowych było obowiązkowe, a składka niewysoka, od 1,5 do 3,5 proc. wartości zwierzęcia. Skoro chłop miał ubezpieczoną świnię, odszkodowanie zaś dostawał wysokie (w zależności od wagi, tyle za kilogram co za żywą) to był bardzo zainteresowany, żeby każdą padłą sztukę zgłosić. Wtedy mieliśmy niemal pełny obraz



Nie wiadomo ile padliny trafia na rynek

lot. JMG

sytuacji, ile czego mamy i ile w ciągu roku zdycha.

Od pierwszego lipca ubiegłego roku ubezpieczenia są dobrowolne, a składki bardzo wysokie. Ilość ubezpieczonych zwierząt zmalała wielokrotnie, zatem i drugie źródło informacji całościowej wyszło.

Przyjrzyjmy się liczbom. W roku 1988, kiedy składki były jeszcze obowiązkowe, w gospodarstwach prywatnych ubezpieczonych było 11 milionów 430 tysięcy świń, z czego padło 573 tysiące, a więc prawie 5 proc. pogłowia. Krow zaś odnotowano 4 miliony 167 tysięcy, padło 123 tysiące, czyli prawie 3 procent.

W drugiej połowie 1989 roku chłopci ubezpieczyli 405 tysięcy krow, a więc dziesięciokrotnie mniej, świń zaś 328 tysięcy, czyli niemal sześćdziesięciokrotnie mniej. Nie ma jeszcze tegorocznych danych o ilości padniętych zwierząt, ale w nowej sytuacji niczego one nie zlustrowują. Zwłaszcza, że wbrew przepisom chłopci stosują pewne oszustwo: ma 10 świń, a ubezpiecza tylko dwie, a że świni nie ma dowodu osobistego, nie wiadomo więc które padają, te ubezpieczone czy nie? Praktyki owe spowodowały, że w ostatnim okresie w wielu oddziałach PZU

wypłacono sumy odszkodowań większe od sum, które wpłynęły ze składek. PZU broni się podwyższając wysokość składki, niektóre rejonu wystąpiły o zgodę na podwyższenie jej do 60 procent wartości zwierzęcia I koło się zamyka, bo to powoduje, że z miesiąca na miesiąc ilość ubezpieczonych zwierząt maleje.

Według danych z 1989 roku zwierzęta nie sobie nie robiły ze zmian i chorowały nadal. Krów leczono w owym roku 3 miliony 408 tysięcy, czyli 31,8 proc. pogłowia, świnie zaś wymagały pomocy lekarskiej 10 milionów 819 tysięcy razy, czyli chorowało 57,4 proc. całej populacji. Procentowe wycieczki nie są zbyt ścisłe, bo niektóre zwierzęta były leczone kilkakrotnie w ciągu roku. Najczęstsze są choroby płucno-jelitowe, w tym kolibakterioza i salmonelloza, niebezpieczna dla człowieka.

Do Bacutilu powinno trafiać przeciętnie pół miliona zdechłych świń rocznie. Jak wspominałam, Bacutil przekształcił się w spółkę samodzielnych przedsiębiorstw obejmujących kraj, każde z nich posiada kilka lub więcej zakładów utylizacyjnych, czyli fabryczek zmieniających padlinę na mączkę i po kilkudziesięciu punktów odbioru padliny. Ale każde z tych przedsiębiorstw rzadzi się samo i w zależności od potrzeb sprzedaje lub wydzwania niektóre fabryczki i punkty zbiórki padłej zwierzyny. Jedni coś tam zapisują, inni nie, a jeśli nawet zapisują, to według własnego klucza i nie udostępniają tych informacji. Panuje więc zupełny chaos. W większości Bacutilów, jeśli nawet nie dysponują danymi, to mają własne obserwacje, z których wynika, że tej zdechliny trafia do nich o wiele, wiele mniej, niż w zeszłym roku. Wyjątkiem jest przedsiębiorstwo w Poznaniu, do ich zakładu utylizacyjnego w Jankowie przywozi się w tym roku trochę więcej.

Sytuacja w Bacutilu bydgoskim, prowadzącym bardzo dokładną statystykę, wygląda tak (dane z dwóch pierwszych kwartałów poprzedniego i obecnego roku):

☆ Zakład utylizacyjny w Olszówce, obejmujący woj. toruńskie i część włocławskiego - w tamtym roku przyjął 15 801 padłych świń oraz 815 krów, w tym odpowiednio 9 438 i 437.

☆ Zakład w Sępólnie, obejmujący woj. bydgoskie, część pińskiego i słupskiego - w tamtym dostał 14 782 świń i 537 krów, w tym - 9 807 i 251.

☆ Zakład w Antoniewie woj. bydgoskie - w poprzednim roku przywieziono tu 5097 świń i 253 krowy, w tym - 44 421 i 140

☆ Zakład Falbosz, obsługujący woj. bydgoskie - w ubiegłym roku przerobił 5 545 świń i 572 krowy, w tym roku - 3 773 i 369.

☆ Zakład Papros, woj. bydgoskie i część włocławskiego - w ubiegłym roku

trafiło tu 10 165 sztuk trzody i 281 krów, w tym 8 425 i 306 (jeden przykład, gdzie przyjęto więcej padliny).

Jeszcze wyraźniejsze różnice widać na terenach objętych przez Bacutil krakowski, są to województwa krakowski, tarnowski, kielecki, przemyski, część katowickiego, nowosądeckie, biełsko-bialskie, krośnieńskie. Wszelkiej padliny przyjęto w ciągu dwóch pierwszych kwartałów tamtego roku 40 906 kwintali, w podobnym okresie tego roku wpłynęło tylko 9 467 kwintali, zatem ponad czterokrotnie mniej! Przedsiębiorstwo miało 70 swoich punktów zbiórki padliny i wszystkie zlikwidowało; zbyt wysokie koszty utrzymania, zbyt mały napływ "zdechłej masy".

głada w Polsce dość zabawnie. Nadzór nad produkcją należy do resortu rolnictwa, od Weterynaryjnej Inspekcji Sanitarnej w dół, do Miejskich Zakładów Weterynaryjnych, dystrybucję zaś kontroluje resort zdrowia, od Państwowej Inspekcji Sanitarnej na górę, po Sanepidy różnych szczebli. Naukowo zajmują się tym różne instytuty, jak Instytut Żywności Żywnienia czy Państwowy Zakład Higieny.

Zabawna zaś strona tego systemu polega na tym, że kontroluje się to wszystko, co robi się legalnie i sprzedaje w legalnych punktach! A więc sprawdza się tych, którzy i tak sami starają się trzymać przepisów, bo jeżeli rzemieślnik inwestuje pieniądze w maszyny, to nie opłaca mu się



Powinno się zgłaszać zawiadzczeń lekarzy

fol. JMG

Część tych punktów przejęły gminy bądź ludzie prywatni.

W Bacutilu katowickim dyrektor zakazał udzielania jakichkolwiek informacji. W szczecińskim również nie chcą mówić, jedynie podają, że w tym roku jest 30 proc. mniej padliny do przerobu. W wyszkowskim wszystkie zakłady utylizacyjne są w agencji i nie wiadomo, co się tam dzieje. W pozostałych płaczą się i wykręcają.

System kontroli przerobu mięsa wy-

drobny szwindel z przerobieniem jednej zdechłej świni na szynkę, za dużo ryzykuje. Tam może się zdarzyć jedynie coś przez przecenienie, jak to było np. niedawno w województwie słupskim, gdzie lekarz nie zauważył włośnią i 8 osób się zaraziło.

Natomiast nikt nie ma wpływu na nielegalny ubój, nielegalne przerabianie i nielegalną sprzedaż tego świństwa na brudnych straganach. Jeżeli brudny typ sprzedaje na ulicy kielbasę - to niby co mu można zrobić?

Otóż może go wyłęgitymować policjant lub ktoś ze służby porządkowej. Mogą sprawdzić czy ma pozwolenie na działalność gospodarczą. O zezwolenie dziś bardzo łatwo ale i tak wielu producentów nie chce się trudzić, zwłaszcza, jeśli akurat padły dwie świnie i chce je szybko sprzedać. W przyszłym miesiącu może żadna mu nie zdecnie. Jeśli nie ma zezwolenia, płaci mandat, całe 3 tysiące złotych! Wysokość mandatów ma podobno wzrosnąć do 100 tysięcy, ale i tak będzie to opłacalna kwota dla czustów.

Jeśli sprzedaje mięso, musi mieć zaświadczenie lekarskie, które podobno łatwo sfalszować. Ale jakiego zaświadczenia żądać w wypadku sprzedaży np. kiełbasy? Chłop miał wesele, zrobił dla siebie, trochę mu zostało, i właśnie sprzedaje...

Teoretycznie pracownicy którejkolwiek z instytucji kontrolujących mogą podejść do handlarza i pobrać próbkę wyrobów do badań laboratoryjnych. Po pierwsze, w PIS-ie pracują przeważnie kobiety, a handlarzami są najczęściej mężczyźni, do których strach podejść, bo można "usłyszeć" albo oberwać. Po drugie, można, powiedzmy, udać klienta, kupić, spokojnie zanieść do laboratorium i na jutro przynieść z wynikiem w to samo miejsce na ulicy, gdzie... stoi już zupełnie ktoś inny.

Zdarzyło się w maju, w Lublinie, że pewien klient tknięty przeczućmi zaniósł wprawione do badania, miała włosień. Oczywiście mowy nie było o odszukaniu sprzedawcy, jedynie błyskawiczne komunikaty w radiu i lokalnej prasie ostudziły kupujących na parę dni i do tragedii nie doszło.

Jak bardzo ci handlarze boją się kontroli, ilustruje przykład: latem, w największe upały, przy ulicy Miodowej w Warszawie, ulicy ruchliwej i pełnej spalin, sprzedawali mięso pod bramą wejściową do Państwowej Inspekcji Sanitarnej...

Włośnica jest chorobą ewidentnie pochodzącą ze spożycia zakażonego mięsa, dlatego można ją wyodrębnić i wzrost przypadków wiązać z nielegalną sprzedażą mięsa. Ale salmonellozy czy innych poważnych zatruc pokarmowych nie można już wyodrębnić, bowiem bakterie tych chorób bywają i w innych produktach, np. mlecznych. Z tego powodu ilość chorób wywołanych jedzeniem niedobrego mięsa jest liczbą nieznaną.

Zezwolenia na handel uliczny wydaje prezydent miasta lub wojewoda, naciski obu zainteresowanych resortów, by zlikwidować handel mięsem odbierane są jako zamach na wolny wreszcie rynek. Zapewne do pierwszej większej epidemii.

Ewa Ratulanka

Minimum socjalne

Katarzyna Dolińska

Pusty koszyk

Pojęcie minimum socjalnego i pierwsze wyniki jego obliczania pojawiły się w Polsce w 1957 r. Poza naszym krajem termin taki występuje w literaturze socjologicznej czeskiej i radzieckiej. W krajach zachodnich używany jest jako miernik ubóstwa.

Po każdym przesileniu politycznym problem minimum stawiano u nas od nowa, ale dopiero po roku 1980 rozpoczęły się systematyczne badania. Jeden z zapisów Porozumień Sierpniowych zobowiązywał bowiem rząd do opracowania zasad rekompensaty wzrostu kosztów utrzymania. Uchwała Rady Ministrów z dn. 10 sierpnia 1981 stanowi pierwszy dokument, w którym minimum zostało zdefiniowane, jako "podstawowy zestaw dóbr i usług dla poszczególnych rodzin w postaci rzeczowej i pieniężnej, z uwzględnieniem aktualnego poziomu cen."

Badania prowadzone w latach 1980-81 przez Instytut Pracy i Spraw Socjalnych (IPISS) wykazały, że na granicy biedy żyło wówczas w miastach ok. 2,5-3 mln osób. Od roku 1983 Instytut obliczał minimum raz na kwartał, ale dane te nie były publikowane.

Aby otrzymać wysokość minimum socjalnego, tworzy się koszyk standardowych dóbr, a następnie sumuje ceny poszczególnych jego składników. O ile zasada obliczania nie była kwestionowana to spory i emocje wywoływał skład "koszyka". Przyjęto, że będzie zawierał siedem grup towarów i usług: żywność, odzież i obuwie, mieszkanie, opał i energię, higienę i ochronę zdrowia, kulturę i oświatę, transport i łączność oraz pozostałe wydatki.

Punktem wyjścia w obliczaniu wydatków na żywność były normy żywieniowe zawarte w Zarządzeniu Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej z dn. 24 VI 1974 r. Wyszczególnia ono cztery warianty całodziennych racji pokarmowych, wyrażonych w produktach zapewniających zachowanie norm fizjologicznych. IPISS, jako punkt wyjścia, przyjął wariant B, czyli racje wużywienia dostatecznego o umiarkowanym koszcie. Dla osoby dorosłej umiarkowanie ciężko pracującej, jest to miesięcznie m.in.: 13,7 kg chleba, 10 l mleka, 0,8 kg twarogu, 10 jaj, 3,4 kg mięsa, 1,7 kg cukru, 1 kg ryb, 16,7 kg warzyw i 2 kg owoców. Wyliczenie zużycia odzieży i obuwia jest sprawą bardziej skomplikowaną, gdyż trudno tu ustalić

normy. Zakłada się że artykuły nie muszą być modne, a więc mogą pochodzić z wyprzedaży oraz nie muszą być najlepszego gatunku. Przyjmuje się też, że 25 proc. odzieży w rodzinach czteroosobowych szyje się w domu, i jest to 40 proc. oszczędność kosztów.

Rodzina badana przez IPISS mieszka w samodzielnym mieszkaniu kwatruńkowym o powierzchni - dwuosobowa 22,5 m kw., czteroosobowa 36 m kw. Jest rodziną zdrową, korzystającą wyłącznie z uspołecznionej służby zdrowia. Do trwałych dóbr kulturalnych należą: radio, telewizor i budzik. Wydatki uwzględniają imprezy kulturalne i zakup czasopism, ale nie książek - rodzina korzysta z bezpłatnych bibliotek. Nie przewiduje się specjalnych wydatków na wypoczynek, koszt wczasów rekompensowany jest dopłatami zakładu pracy. Do usług transportu i łączności należą przejazdy do pracy dorosłych z biletami miesięcznymi na 2 linie, przejazdy dzieci do szkoły, przejazd na wypoczynek z biletem 2 klasy na odległość 200 km. 10 proc. stanowi rezerwa na korespondencję i telefony. Wydatki pozostałe zostały ustalone na poziomie 10 proc. sumy ogólnych wydatków.

W obliczeniach IPISS prezentowane są cztery rodzaje typowych gospodarstw domowych: 1 osob. i 4 osob. pracownicze oraz 1 osob. i 2 osob. emeryckie. Obliczanie minimum dla ludności rolniczej jest trudniejsze ze względu na warunki mieszkaniowe, liczebność rodzin, utrudnienie w korzystaniu z niektórych usług i przyjmuje się, że wynosi ono 85-90 proc. minimum dla rodzin pracowniczych.

Ceny poszczególnych artykułów ustala się na podstawie cenników, notowań urzędów statystycznych, badań budżetów rodzinnych, specjalnych ankiet. Dziś, przy ogromnym ich zróżnicowaniu, jest to szczególnie kłopotliwe.

Według prognoz na wrzesień 1990 r. poziom minimum socjalnego na jedną osobę wg IPISS powinien wynieść: w rodzinach pracowniczych 1 osob. - 543 480 zł, 4 osob. - 445 975 zł, a emeryckich 1 osob. 446 410 zł, 2 osob. - 384 040 zł.

Edwarda Dąbrowska, IPISS: "Badanie minimum ma sens wtedy, gdy jest uściślona sytuacja gospodarcza. W dzisiejszych warunkach trzeba wciąż wprowadzać korekty. Kiedyś podręczniki

szkolne były bezpłatne, w tym roku są horrendalnie drogie. Trzykrotnie wzrosły czynsze za mieszkania. Minimum jest kwotą stałą, liczoną na cały kraj, a przecież wiadomo, jak zróżnicowane są warunki życia w poszczególnych regionach. Nasze minimum jest dość wysokie, bliskie optimum. Uwzględniamy w gospodarstwach domowych pralkę, lodówkę, telewizor, maszynę MOP, przeglądając nasze dane, sugerowali wycięcie wielu wydatków".

OPZZ prowadzi własne obliczenia. Ich wyniki są wywieszane w postaci transparentu przy wejściu do siedziby Porozumienia opatrzone komentarzem: "Czy można za to żyć?" Są jednak wyższe niż ustalone przez IPiSS. Prognozy na wrzesień wynoszą: dla rodziny pracowniczej jednoosobowej - 615 tys. zł, dla 2 osób (kategoria nie badana przez IPiSS) - 526 500 zł, dla 4 osób - 504 800 zł. Dla rodziny emeryckiej 1 osob. - 523 600 zł i 2 osób - 446 500 zł. IPiSS w swoich prognozach oparł się na założeniu Ministerstwa Finansów, że wzrost cen we wrześniu będzie wynosił 104 proc., OPZZ zakłada, że żywność zdrożeje o 1 proc., mieszkanie 50-70 proc., artykuły trwałe użytku o 3 proc. Wyniki badań zarówno IPiSS jak i OPZZ wykazują, że rodzina czteroosobowa, a nawet trzyosobowa, w której pracuje tylko jedna osoba mająca przeciętne zarobki, nie jest w stanie utrzymać się na poziomie minimum.

Danuta Multańska OPZZ: "W ciągu ostatniego roku, od sierpnia 1989, więc już po wprowadzeniu tzw. urynkowania, płaca realna spadła o 52 proc. Nastąpiło zubożenie ogromnej większości społeczeństwa, stąd też badania minimum socjalnego cieszą się coraz większym zainteresowaniem. Nie jest ono w dalszym ciągu kategorią polityki społecznej. Nie wyraża się w minimalnej płacy, w działaniach osłonowych, w zasiłkach dla bezrobotnych. Min. Kuroń niedawno proponował by minimalną płacę ustanowić w wysokości jednej trzeciej średniej płacy krajowej. Nie należy jednak mówić o procentowym odniesieniu, ale trzeba jeszcze zadać pytanie: co można za to kupić? Sztuczne ustalenie najniższej płacy nic nie daje, bo to jest ustalenie granicy najniższego ubóstwa. Inflacja pod koniec roku będzie wynosiła 300 proc., nadal jest najwyższa w Europie, dlaczego więc mówi się o jej zdławieniu? Przecicznik indeksacyjny wyniesie w ciągu roku 0,6 w stosunku do średniej płacy w gospodarce społecznej. W związku z prywatyzacją gospodarki te dysproporcje płacowe będą się powiększać. Z naszych badań wynika, że 50 proc. społeczeństwa żyje "pod kreską", dlatego zdumiewają mnie takie pomysły, jak ten, że zasiłki rodzinne będzie się wypłacać tylko najuboższymi. Najuboższymi są już wszyscy".



"Później kreski" żyje 50 proc. społeczeństwa
fot. Juliusz Sokolowski /DELTA/

Koszyk dóbr i usług ustalony przez OPZZ w zasadzie nie różni się od badanego przez IPiSS, z jednym wyjątkiem: OPZZ stanowczo opowiada się za stosowaniem dla dzieci normy żywieniowej D - racji żywienia docelowego. Przeciwnie normie B protestuje Instytut Matki i Dziecka. Stąd też minimum ustalone dla

rodziny czteroosobowej jest dużo większe. Przyjmuje się, że jest w niej dwoje dzieci, jedno w wieku 4-6 lat, drugie 13-15 lat. Norma D dla dziecka starszego przewiduje, w porównaniu z normą B, większe spożycie m.in.: mięsa o 1 kg, jajek o 20 szt., owoców o 3 kg, mleka o 9 l.

Również "Solidarność" nie godzi się na to, aby minimum socjalne stanowiło procent przeciętnej płacy i chce, by ta kategoria była powiązana z badaniem kosztów utrzymania. W stosunku do koszyka IPiSS wysuwa się głównie zarzut zawyżenia norm. Zanim ustalą się je na nowo, "Solidarność" uważa, że minimum należy obliczać według kategorii wydatków na żywność, która w czerwcu kształtowała się na poziomie 56 proc. wszystkich kosztów utrzymania. Najniższe wynagrodzenie powinno wynosić podwójną kwotę tej sumy. Według badań budżetów rodzinnych, prowadzonych przez GUS, wydatki na żywność w czerwcu wynosiły 237 tys. zł na osobę. Uwzględniając wzrost cen, "Solidarność" sugerowała, by najniższa płaca w IV kwartale br. wynosiła 482 tys. i kwotę tę zaakceptował również OPZZ. Ministerstwo Finansów proponowało o 40 tys. mniej. Ostatecznie kwotę tę ustalono na 440 tys. Oba związki będą też dążyły do ustalenia kategorii "płacy rodzinnej", czyli takiej, która pozwoli na utrzymanie co najmniej dwóch osób. Na razie jest to jednak kategoria docelowa, niewykonalna, że można do zrealizowania dopiero za kilka lat.

Ewa Lewicka, Zarząd Regionu Mazowsze NSZZ "Solidarność": "Obecnie wiele przedsiębiorstw z powodu niewydolności finansowej ma kłopoty z utrzymaniem płacy na najniższym poziomie. W tej chwili zarobki w co dziesiątym przedsiębiorstwie kształtują się poniżej 300 tys. zł. Mamy nadzieję, że do końca roku ustalimy nowy, realny koszyk, według którego będzie się wyliczało minimum socjalne. Na razie związki zawodowe nie mogą stawiać zbyt wygórowanych żądań, gdyż spowoduje to upadek kolejnych zakładów pracy i nową falę bezrobotnych."



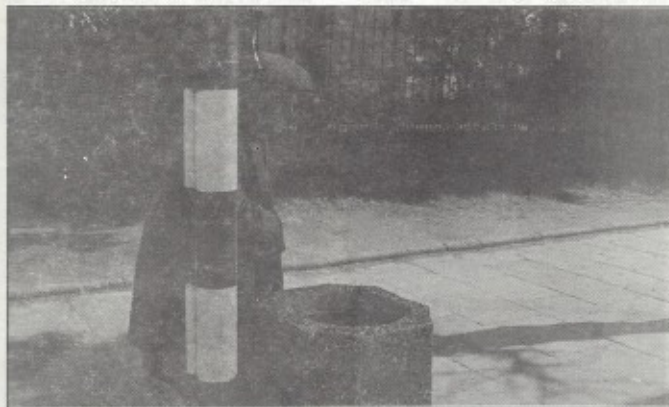
Najniższa płaca wynosi 440 tys. zł

fot. Juliusz Sokolowski /DELTA/

Sprawy społeczne

Maria Mamczur

Polska bieda



Powstał projekt nowej ustawy o pomocy społecznej

fol. Andrzej Hrechowicz /DELTA/

"Polskie społeczeństwo uboższe. Obecnie około 30 proc. ludności w Polsce wymaga społecznej pomocy materialnej". Tak mówi Katarzyna Kądziała z Funduszu SOS przy ministrze Pracy i Polityki Socjalnej, Jacku Kuroniu.

Jeszcze niedawno, gdy mówiono w Polsce o socjalistycznym dobrobycie, o prawie każdego do pracy i płacy, "bieda" pojawiała się przy okazji. Biedny był margines. Ten kto nie chciał pracować, pił, brał narkotyki, był chory psychicznie, niezaradny życiowo.

Biednym udzielano pomocy z urzędu (PCK, Polski Komitet Pomocy Społecznej) i z miłości bliźniego (parafie). Pomoc "należała się", tak powszechnie mówiono, ze strony państwa. Świecka działalność charytatywna była właściwie nie znana.

Utożsamienie biedy z marginesem spowodowało, że inne grupy ludności dotkniętej biedą, np. emeryci tzw. starego portfela, niezdolni do pracy zarobkowej, członkowie wielodzietnych rodzin, ukrywali swój status. Korzystali z pomocy społecznej dopiero wówczas, gdy pojawiali się opiekunowie społeczni zaalarm-

owani przez służbę zdrowia.

W PGR na zachodzie Polski (zielonogórskie) prawie nic się nie zmieniło od kilkudziesięciu lat. Ludzie nadal mieszkają w czworakach, pracownicy czynni i renciści w komórkach na poddaszu. Dzieci są niedożywione (5-letnia Kasia ma wzrost i wagę dziecka dwuletniego). Chorują na krzywicę. Są na ogół opóźnione w rozwoju.

Może tyle się zmieniło... że dzieci jadają coraz skromniej. Co jadłeś na śniadanie? - pytam 4-latkę. - Chleb ze smalcem. - A na obiad? - To samo.

Brak perspektyw, nieumiejętność ułożenia sobie życia inaczej także dlatego, że brak innych kwalifikacji. "Jak się należy - państwo da". Wszelkie dodatkowe zarobki topi się w wódce. Bywało również tak, że pracownicy zamiast premii za pracę, otrzymywali pół litra na głowę i kilogram kielbasy.

Wraz z procesem urynkwienia gospodarki pojawiły się nowe grupy ludzi dotkniętych biedą, np. bezrobotni. Według Andrzeja Kuźnińskiego z Departamen-

tu Pomocy Społecznej Ministerstwa Pracy i Polityki Socjalnej, z pracy zwalnia się przede wszystkim nisko kwalifikowanych chłoporobotników, którzy dojeżdżali do większych miast przemysłowych z rejonów rolniczych, gdzie słabe ziemie, małe arealy itd. Zwalnia się inwalidów (rozwiązują spółdzielnie inwalidzkie), ludzi zagrożonych społecznie (np. byłych narkomanów, byłych alkoholików i byłych więźniów); ludzi korzystających często ze zwolnień lekarskich (lub biorących tak zwaną "opiekę na dziecko"). Pojawiła się nowa kategoria biednych: nosiciele wirusa HIV, których wyrzuca się z pracy, z domu. Dużą liczebnie grupę biednych stanowią bezdomni. Szacuje się, że w Polsce, w tej chwili ok. 40 tysięcy ludzi nie ma dachu nad głową. Bezdomni nie mają meldunku, nie mają więc prawa do bezpłatnej opieki lekarskiej i do wielu świadczeń.

Bieda zmusza ludzi do żebrania. Żebrani przybiera różne formy. Jedni wyciągają ręce po pieniądze, inni sprzedają stare, zużyte przedmioty, jeszcze inni korzystają z zapomogowych posiłków (tzw. zupek Kuronia).

84-letni starzec codziennie przed południem staje w podziemiach pod skrzyżowaniem Alei Jerozolimskich z Marszałkowską w Warszawie. Gra na gitarze, a raczej szarpie wciąż tę samą strunę. Wykrzykuje piosenki. Wielu przechodniów traktuje go jak chorego psychicznie. Litościwi wrzucają do kapelusza pieniądze. "Jestem zupełnie sam. Nic już nie mogę, a muszę z czegoś żyć. Niech pani nie pyta trupa o życie" - mówi 84-letni gitarzysta.

W wielu przedszkolach dzieci, których rodzice nie opłacili posiłków, bo za drogo, patrzą jak bogatsze jedzą. Do Funduszu SOS przychodzą listy od kierowników takich przedszkoli z prośbą "o dofinansowanie posiłków dla biednych dzieci". Ich rodziców nie stać na opłacenie posiłków w przedszkolu, nie stać na zatrudnienie opiekunki do dziecka, matki nie mogą również pozwolić sobie na rezy-

gnając z pracy zawodowej, bo z jednej pensji rodzina by nie wyżyła.

Pojawiły się, nie znane wcześniej, bariery w robieniu kariery zawodowej. Wiele rodziców rezygnuje z umieszczania dziecka w internacie. Jest to na ogół równoznaczne z zakończeniem przez dziecko edukacji.

Bieda oznacza także rezygnację z osiągnięcia celów, do których wiele osób dążyło przez lata. Ludzie, którzy kilkanaście lat czekali na przydział spółdzielczego mieszkania, z chwilą, gdy otrzymują klucze, nie stać ich na wykupienie lokalu.

Inwalidzi nie są w stanie zapłacić, oszczędzając ze swoich rent lub skromnych pensji otrzymywanych w spółdzielniach inwalidzkich, za inwalidzkie wózki, inwalidzkie samochody.

Coraz więcej biednych lokatorów mieszkań kwaterunkowych nie jest w stanie opłacić ciągle wzrastających czynszów, a często jest tak, że pojawiają się dawni właściciele kamienic czynszowych i dyktują własne warunki. Wiele osób czeka więc eksmisja.

Zbików to dzielnica położona na obrzeżu Pruszkowa (woj. stołeczne). Właściwie ruderę, nie remontowaną od lat, zdewastowaną przez mieszkańców - ludzi z marginesu. Dzielnica zapomniana przez władze. Oszczędnościowe domy budowane przed wojną zmieniono w mieszkania zastępcze.

Janina S. mieszka w jednym z nich już 10 lat (pokój bez centralnego ogrzewania i bez pieca, kuchnia, brak wodociągów, kanalizacji). Jest niewykwalifikowaną robotnicą w warszawskich zakładach "TEWA". Zakłady zredukowały niewykwalifikowanych robotników. Także Janinę S. i jej męża. Pojawił się dawny właściciel domu. Chce go wyremontować. Żąda nowych opłat, których Janina S. nie jest w stanie uregulować. Właściciel grozi Janinie S. eksmisją.

Nikt do tej pory nie prowadził systematycznych badań nad rozmieszczeniem biedy w Polsce. Bieda istnieje w statystykach medycznych i w raportach opiekunów społecznych. Jednak wstępne rozpoznanie - mówi Andrzej Kuziński z Departamentu Pomocy Społecznej - wskazuje, że bieda najdotkliwiej dotyka rolnicze rejony Polski, które dostarczały większym miastom swojej siły roboczej. Tam właśnie najbardziej odczuwa się skutki bezrobocia. Najbardziej jest więc w województwach ostrołęckim, łomżyńskim, suwalskim i siedleckim.

Jak twierdzą pracownicy Ministerstwa Pracy i polityki Socjalnej, poprzedni socjalistyczny system wypaczył pojęcie pomocy społecznej, która była traktowana jako działalność marginalna (socjalizm miał przecież prowadzić do dobrobytu). Nie rozwijano więc infrastruktury - ośrodków pomocy społecznej. Jednocześnie wprowadzono wiele świadczeń obligatoryjnych. Prowadziło to do uzależnienia ludzi słabszych od zasiłków, dotacji, wszystkiego, "co się należy". Spowodowało brak motywacji do radzenia samemu sobie.

Opracowano projekt nowej ustawy o pomocy społecznej. Wprowadzono no-

we kategorii osób, którym należy udzielić pomocy społecznej. Art. 3 "Pomocy społecznej na zasadach określonych w ustawie udziela się w szczególności z powodu: 1/ ubóstwa, 2/ sieroctwa, 3/ bezdomności, 4/ bezrobocia, 5/ upośledzenia fizycznego lub psychicznego, 6/ długotrwałej choroby, 7/ bezradności w sprawach opiekuńczo-wychowawczych i prowadzenia gospodarstwa domowego, 8/ alkoholizmu i narkomanii, 9/ trudności w przystosowaniu do życia po odbywaniu kary pozbawienia wolności, 10/ ciężkiej choroby lub ekologicznej".

W projekcie przewidziano dużą rolę gminy w udzielaniu pomocy społecznej. Gmina ma obowiązek zapewnienia noclegu bezdomnym, gminne ośrodki pomocy społecznej muszą wydawać ciepłe posiłki i podstawową odzież.

Twórcy projektu uznali, że pomoc społeczna może mieć formę pomocy materialnej (zasiłki, dostarczanie narzędzi, warsztatu pracy - by biedny mógł zacząć zarabiać) i opiekuńczej (zabiegi higieniczne, pomoc w codziennym życiu zniechęcającym i obłożnie chorym).

Jak mówi Andrzej Kuziński, "trzeba zaktualizować najbardziej potrzebnych tak, by stanęli na własnych nogach. Marzy nam się model, w którym dużą rolę odgrywałyby koła samopomocy, pomoc sąsiedzka. Lepiej dać pieniądze sąsiadce, która zaopecjuje się chorym, niż wysoko opłacać opiekuna społecznego".

Specyficznym tworem instytucjonalnym rządu Mazowieckiego jest Fundusz SOS. Na jego konto wpłynęło do tej pory 8,5 mld zł i są to wyłącznie wpłaty indywidualne. Działanie SOS polega na tym, że wpływają pieniądze od dawców i od razu rozdzielane są między najbardziej potrzebujących. Potrzeby określa się na podstawie listów, petycji, pism. Nie ma "policii funduszowej", która sprawdzałaby, czy sięganie po pomoc jest bezpodstawne. K. Kądziała twierdzi, że chyba nikt nie wyciągnie ręki po pieniądze, gdy naprawdę tego nie potrzebuje, bo taki chleb w kamień by się obrócił.

Ponad 3 mld zł wydano na akcję letnią, 3 mld na dożywianie dzieci, resztę na dożywianie bezdomnych.

W biurze SOS piętrzą się teczki z listami. Od ludzi, którym spłonęły całe gospodarstwa, od harcerzy, którzy prosili o dołożenie pieniędzy do obozu, od instytucji, które prosiły o dofinansowanie działalności, bo skończyły się dotacje, od parafii... Wśród listów znalazły się także te opatrzone pieczęcią partyjną.



Czystsze roomy za wszystkie mieszkania

fot. Andrzej Hrechowiec /DELTA/

Adam Kowalak

Kadm zabija powoli

Z działaniem toksycznym kadmu wiążą się choroby nerek, niedomagania sercowo-naczyniowe, nadciśnienie i arterioskleroza, zaburzenia metabolizmu wapnia i witaminy D. Jako pierwiastek rakotwórczy stymuluje rozwój wielu typów nowotworów.

Na niebezpieczne skutki zanieczyszczenia środowiska kadmem zwrócono uwagę niedawno, w związku ze stwierdzeniami w Japonii faktami zależności między występowaniem w otoczeniu zwiększonych ilości tego pierwiastka a przypadkami specyficznych schorzeń kości. W okolicach niektórych kopalni rud, gdzie wody powierzchniowe i gruntowe są bogate w kadm, od dawna znano chorobę itaj-itaj, co oznacza cierpienie, mękę. Objawia się ona deformacjami oraz kruchością i łamliwością kości, charakteryzuje się bardzo silnymi bólami. W latach sześćdziesiątych schorzenie to rozprzestrzeniło się w Japonii i w innych krajach, z powodu masowego stosowania fungicydów zawierających kadm. W japońskim ryżu zawartość tego metalu dochodziła do 1-2 mg/kg. Statystyczny mieszkaniec Japonii spożywa codziennie około 350 g ryżu, czyli do jego organizmu przedostawało się 350-700 ug kadmu dziennie. W niektórych rejonach wieśniacy odżywiali się tylko ryżem. W tym przypadku ilość wprowadzonego do organizmu kadmu mogła sięgać kilku tysięcy ug, podczas gdy Światowa Organizacja Zdrowia ustaliła dopuszczalną dawkę dzienną tego metalu na poziomie 70 ug.

Kości chorych niekiedy dosłownie rozpyłyły się przy nieostrożnym, gwałtownym ruchu. Na zdjęciach rentgenowskich nóg jednego z pacjentów lekarz naliczył 72 złamania. Nieraz głębię sklon był przyczyną złamania żebra...

Objawy te były spowodowane faktem zakłócenia przez kadm procesu wiązania wapnia i magnezu w przewodzie pokarmowym ludzi, którzy spożywali zatruty ryż. Masowe występowanie zachorowań skłoniło władze japońskie do zorganizowania akcji wykupu i niszczenia ryżu pochodzącego z najbardziej zanieczyszczonych rejonów.

Do otoczenia kadmem przedostaje się z zakładów przemysłowych, z pyłami

i ściekami z kopalni rud metali kolorowych, głównie cynku. Szczegółowe badania przeprowadzone w rejonie huty cynku w amerykańskim stanie Montana, produkującej 80 ton cynku dziennie, wykazały, że w okresie jej działalności 260 ton kadmu skażło otoczenie w promieniu 16 km od kominów zakładu. Olbrzymie ilości tego metalu emitują również nasze huty metali kolorowych. Huta cynku w Olskuszu emituje rocznie ponad 6 ton kadmu. Szczególnie duże skażenie terenu występuje wokół huty w Miasteczku Śląskim oraz w otoczeniu zamkniętej już huty w Szopienicach.

Poza hutami cynku źródłem kadmu w środowisku może być flotacja rud miedzi a także większość zakładów czerpiących energię do produkcji ze spalania węgla. Pośrednim i powszechnym źródłem kadmu w żywności są zanieczyszczone nawozy fosforowe oraz wykorzystywane do nawożenia odpady z oczyszczalni ścieków.

Metale ciężkie odprowadzane ze ściekami przemysłowymi w małych nawet ilościach ulegają silnej koncentracji w osadach ściekowych. Badania naukowe wykazują, że na glebach nawożonych takimi odpadami rośliny uprawne zawierają znacznie więcej kadmu. Pierwiastek, ten jak i inne metale ciężkie, trafia wraz ze ściekami do rzek.

Jeszcze kilkadziesiąt lat temu użytki rolne położone w dolinach rzek należały do najżyźniejszych. Wiosenne kłęski powodzi wpisywano po prostu w ryzyko gospodarowania, ale nieszczęście powodzi miało też swoje zalety - woda używała glebę. Dziś plony uzyskiwane z nadrzecznych użytków rolnych nadal są duże, jednak radykalnie pogorszyła się ich jakość. Obecnie bowiem zalewanie pól przez sporą część naszych rzek stanowi katastrofę ekologiczną o nieodwracalnych skutkach.

Tylko na Dolnym Śląsku każde większe wezbranie Odry powoduje skażenie około sześciu tysięcy hektarów, zanieczyszczenie kilku tysięcy studni i wiąże się ze stratami rzędu kilku a nawet kilkunastu miliardów złotych.

Kadm, jeśli dostanie się do gleby, utrzymuje się na jej powierzchni ponad

250 lat. Wchodzi on w skład próchnicy przybierając formy łatwo przyswajalne dla roślin. Skażenie tym metalem jest zatem szczególnie groźne. Kadm absorbowany z gleby i zatrzymywany przez rośliny uprawne wchodzi w łańcuch żywnościowy. Podwyższona zawartość tego metalu w żywności szczególnie negatywnie odbija się na zdrowiu dzieci, powodując obniżenie odporności immunologicznej młodych organizmów. Kadm jest jednym z najpoważniejszych czynników zwiększających zagrożenie dzieci chorobami nowotworowymi.

Duże ilości kadmu zawiera tytoń. W jednym papierosie znajduje się od 1,2 do 2,5 mg tego pierwiastka. Próby przeprowadzone z "palącymi" robotami wykazały, że z tej ilości 0,1-0,2 mg przechodzi do płuc palacza, pozostała zaś część rozchodzi się z dymem i popiołem trafiając do płuc niepalących. Przy światowej produkcji tytoniu wynoszącej 5,7 mln ton, wypalenie wszystkich tych papierosów powoduje emisję 5,7-11,4 ton kadmu, czyli tyle, ile emitują cztery wulkany podczas erupcji o średniej sile.

Do najbardziej drastycznych przykładów zabójczej emisji metali ciężkich, w tym głównie kadmu, można zaliczyć używanie zabawk z tworzyw sztucznych. Źródłem tego metalu w masach plastycznych są głównie barwniki. Czasami stosuje się związki kadmu jako substancje utwardzające. Wprawdzie obecnie w Polsce obowiązuje zakaz stosowania farb kadmowych przy produkcji tworzyw sztucznych, ale okazuje się, że stosowane, szczególnie w małych zakładach, tanie barwniki zawierają duże ilości tego metalu w formie zanieczyszczeń. Ten sposób potaniania produkcji ma zgubne skutki dla zdrowia naszych dzieci. Kadm występuje również w barwnikach, którymi zdobi się wyroby z tworzyw tradycyjnych, powszechnie uważanych za zdrowsze. Porcelanę, porcelit, fajans dekoruje się często farbami zawierającymi kadm. Badania amerykańskie wykazały, że ilości kadmu jakie mogą przeniknąć do żywności ze zdobionego talerza i sztućców pokrywanych powłoką kadmową, nie należy lekceważyć.

Maciej Radwan Rybiński

Prywatne rozmyślania

1.

Podobno istnieje chińskie przekleństwo - obyć żył w ciekawych czasach. Jeśli to prawda, zdejmuję przed Chińczykami koszulę. Koszulę dlatego, że kapelusza nie noszę, a spodni nie wypada zdejmować. Przypadło mi się żyć w ciekawych czasach i w dodatku ciągle we właściwym miejscu, tam gdzie się te ciekawe czasy rozgrywają. Kiedy mieszkalem w Polsce, zdarzyło mi się przeżyć rok 1956 także w Alejach Ujazdowskich, prawie na wysokości Belwederu, gdzie powstrzymano wyrotowe elementy przed marszem na ambasadę ZSRR. 8 marca 1968 roku byłem na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego. W grudniu 1970 byłem akurat w Gdańsku. Do dziś nie mogę zrozumieć, jak to się stało, że w czerwcu 1976 nie byłem w Ursusie albo w Radomiu. Jakiego przeoczenia ze strony Opatrzności, Nemezis albo losu, zależy od światopoglądu. W 1981 roku byłem w Warszawie, co jest zresztą bez znaczenia, bo to samo było w całej Polsce. W dzień po wymierzeniu moim do RFN upadł rząd Schmidta i kandydatem został Helmut Kohl. Nie jestem zarozumiały, ale wyobrażam sobie, że gdybym przyjechał do Bonn miesiąc wcześniej albo miesiąc później, Genscher dostosowałby do tego swoją wolę. Wyjechałem do Londynu kiedy funt był wart ponad 4 marki. W trzy tygodnie po moim osiedleniu się w Anglii funt spadł do 3 marek i do dziś nie może się podnieść. Może nie trzeba było wyjeżdżać? Wtedy zapewne spadłaby marka. Wróciłem do Bonn i nie potrzebowałbym długo czekać, a Niemcy się zjednoczyli i uznali granicę na Odrze i Nysie. Podpisywano układy, parlamenty obradowały w permanencji, odbywały się stale debaty i głosowania. Dla dziennikarza ostatecznie gratka, szansa zawodowa zupełnie niezwykła - dzieje się historia, a człowiek może jej na codzień dotknąć, codziennie oglądać z bliska jej aktorów i reżyserów. I to dlaczego ja się do cholery nie cieszę? Ponieważ przełomowe wydarzenia historyczne oglądane ze zbyt bliskiej perspektywy rozpadały się na mozaikę drobiazgów, których nie sposób już w końcu objąć umysłem. Kiedy będę opowiadał o wydarzeniach, których byłem świadkiem, w mojej pamięci zapewne pozostanie w związku ze zjednoczeniem tylko jedno - chodziło wówczas o cyfry. O liczby wyrażane w miliardach i o procenty. Dla większości Niemców, których znam, zjednoczenie jest sprawą kosztów - idzie o to, ile miliardów czy bilionów trzeba wyłożyć i kto je zapłaci. W mojej okolicy ludzie wyszli na ulicę z okazji zdobycia tytułu mistrzów świata w piłce nożnej, a z okazji zjednoczenia nie wyszli. Miałem wrażenie, że jest tylko jeden sposób, żeby ich wywabić z domów - krzyknąć na ulicy „Freibier“. Tylko kto miałby za to piwo zapłacić? Historia od strony kasy jest zupełnie inna, niż wynika to z podręczników szkolnych. Być może we wszystkich rewolucjach nie chodziło o żadne szczerne ideały, jak nam to wmawiano w szkołach, a tylko o możliwość bezkarnego rabunku? Właściciel sklepu, w którym się zaopatruję był w dzień po wyzwoleniu bardzo czegoś wesolutki. Pogwizdywał sobie pogodnie, więc go zapytałem, czy się cieszy ze zjednoczenia. Dlaczego miałbym się cieszyć - odparł zdziwiony - przecież ci ze Wschodu i tak nie u mnie nie kupią. Otóż to. Oto odpowiedź drobnego niemieckiego burżuja, podobno fundamentu niemieckiego szowinizmu, na ostrzeżenia



Maciej Radwan-Rybiński

przed wielkoniemieckim nacjonalizmem płynące z lamów "New York Herald Tribune". Bardziej czulem powiew historii w czasie majowego palowania 1982 na Nowym Świecie, niż przez te wszystkie miesiące w Bonn. Oczywiście, pozycja akredytowanego w Bonn korespondenta pozwala ocenić zjednoczenie także od kuchni. Dosłownie. Nigdy jeszcze nie było w Bonn tylu przyjęć i koktaili co w tym roku. Ludzie, którzy na takich przyjęciach nie bywają, uważają oczywiście, że to coś nadzwyczajnego. Tymczasem jest to obowiązek uciążliwy i kosztowny. Przede wszystkim trzeba się umyć i ogolić. I to w najmniej odpowiedniej porze, późnym popołudniem. Trzeba się wbić w gamur i krawat, a jeśli okazja jest poważniejsza, to w muszkę. Bywają zaproszenia z bezlistnym dopiskiem - strój wieczorowy, co znaczy, że trzeba wypożyczyć smoking. Wprawdzie na takich zaproszeniach jest też zawsze zaznaczone... albo strój narodowy, ale jak dotąd wszystkie moje usiłowania zdobycia cyfrowanych portek, ciupagi i kapelusza z piórkami spełzy na niczym. Naturalnie, mógłbym się ubrać w kimono i wmawiać gospodarzom, że to tradycyjny strój chłopów z Podlasia, ale na takich przyjęciach bywają sympatycy Polski,

którzy często potrafią nawet zaskoczyć swoimi wiadomościami. Niedawno spytał mnie pewien sympatyczny Niemiec, czy to prawda że "Kameralna" na Foksal w Warszawie zlikwidowano, a jeśli tak, to dlaczego. Ponieważ nie umiałem odpowiedzieć, uznał mnie za ciemniaka z prowincji, pozbawionego dostępu do najważniej-



szych informacji o życiu i polityce kraju. Kobiety mają jeszcze gorzej - nie wypada im pokazywać się więcej niż dwa razy w tej samej sukni. Potem trzeba wczuć taksówkę, ponieważ na przyjęciach wnoszone są toasty. Ludzie niepijący w kręgach polityczno-dyplomatycznych szybko stają się przedmiotem złośliwych plotek, bojkotu towarzyskiego i demonstracyjnych niechęci, po czym przewraca się w nich żółć i umierają przedwcześnie na marskość wątroby. Za taksówkę trzeba płacić samemu, gospodarze nie honorują rachunków. Przyjęcia na stojąco są ciekawsze, niż na siedząco. Przede wszystkim jest w nich element sportowy. Kelnerów roznoszących tacę z kanapkami i trunkami jest zawsze mniej niż zaproszonych gości. Toteż

odbywa się nieustanny ruch, trwa polowanie na kanapkę z lososiem czy kieliszek wódki, podczas gdy akurat na najbliższej tacy jest wyłącznie poledwica albo białe wino. Wszyscy bez przerwy więc się przemieszczają, i wytrącając komuś z ręki kieliszek albo następując na nogę, zawrzeć można ciekawą znajomość. Kiedyś interesującą znajomość można było nawiązać nawet w pisuarze. Sam byłem świadkiem jak pewien dziennikarz zdobył sobie sympatię Franza Josefa Straussa mówiąc - przed chwilą ścisnąłem rękę kanclerza teraz siusiam obok Straussa. Sam nie wiem, którą okoliczność mam wyżej cenić. Teraz byłoby to ryzykowne, po śmierci premiera Bawarii: w Niemczech pozostali sami poważni politycy. Trochę gorzej jest na przyjęciach siedzących. Każdy ma z góry określone miejsce. Moją żonę, z którą zawsze mamy sobie dużo do powiedzenia sadząją zazwyczaj w drugim końcu stołu, a krzyżać przez całą salę nie wypada. Ma się do dyspozycji sąsiada z lewej, sąsiada z prawej i tego z naprzeciwka. Ponieważ przerwy między daniami są długie, trzeba rozmawiać. Teraz jednak jest już dużo lepiej. Jeszcze kilka miesięcy temu taki sąsiad, dowiedziawszy się, że jestem Polakiem, składał natychmiast deklarację o swoim stosunku do granicy na Odrze i Nysie. Spieszył też z zapewnieniem, że tak jak on za uznaniem granicy jest większość społeczeństwa, a przeciwnicy stanowią margines bez znaczenia. Tu stygnie Chateaubriand na grzance, paruje stary Burgund, a dobroduszy przedstawiciel niemieckich gospodarzy z zapalem przekonuje mnie do czegoś, o czym sam dobrze wiem. Po deklaracjach Bundestagu i Izby Ludowej to się trochę zmieniło. Ale też nie na lepsze. O czym to ja już nie rozmawiałem - o Gunterze Grassie i o Reichu-Ranickim, o sposobach neutralizacji trujących odpadów i o dziurze ozonowej, o eksplozji demograficznej w Trzecim Świecie i o kondonach. Ostatnio znów często pytają, kto wygra wybory - Wałęsa czy Mazowiecki. Niedawno odpowiedziałem - już przy kawie i koniaku - że ani jeden ani drugi. Wygra Prymas Glemp i Polska zostanie pierwszą w świecie katolicką teokracją. Rozmówca uwiarył, spanikowali i zapytał, co stanie się z protestantami. No cóż, odrzekłem, na stos. Facet upewnił się dwa razy, zanim się roześmiał, a potem zaczął to powtarzać. Jeśli chodzi o stronę kulinarną - wszystkie potrawy mają na ogół wyszukane nazwy, za którymi kryje się na ogół "fast food". Jeśli trzeba podać naraz 300 befsztyków, to wszystkie muszą być jednakowo niedobre. Tak oto wygląda zjednoczenie z mojej perspektywy w Bonn. Toteż zgadzam się z pewnym niemieckim przyjacielem, który określił zjednoczenie tak: Frieden, Freiheit, Eierkuchen, co można przetłumaczyć na: Pokój, Wolność, Ciastko z Kremem.

2.

Naturalnie, na pytanie Mazowiecki czy Wałęsa odpowiedzieć też można całkiem poważnie. I odpowiedź nie jest wcale trudna. Jak sięgam pamięcią w dzieje Polski Ludowej były to dzieje reform gospodarczych. Reformowano gospodarkę za Bierutą, za Gomułką, za Gierką i za Jaruzelskiego. Zapalano zielone światło dla rzemiosła i gazono. Wprowadzano bodźce i likwidowano. Zakładano Wielkie Organizacje Gospodarcze i rozwiązywano. Można tak wyliczać długo. Ocena wartości tych wszystkich prób musi być różna, na ogół krytyczna, ale wszystkie mają wspólny mianownik - żadna nie została konsek-

wentnie przeprowadzona do końca. Reforma Balcerowicza jest pierwszą, która ma szansę. Przerwanie jej i zaczynanie nowej, oznacza pograżenie Polaków w nędzy, a gospodarkę w chaosie na wiele lat. Nawet gdyby ta kolejna reforma w założeniach przewidywała balcerowiczowską. Osobiście jest mi obojętne, czy w Belwederze będzie mieszkał Mazowiecki czy Wałęsa. Nie jest mi natomiast obojętny los gospodarki, bo od jej kształtu i efektywności zależy będzie w ostatecznym rozrachunku ustrój polityczny Rzeczypospolitej. Są to prawdy tak oczywiste, że aż żenujące jest je powtarzać. Jeśli Polakom naprawdę zabraknie chleba, trzeba im będzie dać w zamian - Żydów, Niemców albo marsz na Wilno. Żadna z tych perspektyw nie budzi mojego entuzjazmu.



3.

Przeczytałem w jednej z krajowych gazet list usuniętego ze służby funkcjonariusza służby bezpieczeństwa, który żalił się, że szkoły nie chcą zatrudnić ani jego, ani jemu podobnych. Oczywiście w charakterze nauczycieli. Tak się tym przejąłem, że w nocy przysnił mi się następujący sen. Byłem znowu małym chłopcem w krótkich spodniach i marynarskim ubranku. Siedziałem w szkolnej ławce, poróżnionej scyzorykiem i umazanej kredą i atramentem. Nauczyciel wezwał mnie do odpowiedzi.

- Kiedy była bitwa pod Zamą? - wrzasnął.
- Gdzie? - spytałem.
- Nie wiesz? - zasyzczał, przycinając mi palce szufladą.
- Zacząłem coś mówić o wodzu Kartaginczyków.
- Nazwisko? - domagał się nauczyciel, wierząc mi ołówkiem w ucho.
- Ha - zaczęłam i widząc w jego ręku linijkę dokończyłem szybko - Hannibal.
- Adres, adres - domagał się nauczyciel.
- W tym momencie się obudziłem. I jedyny adres jaki mogłem sobie przypomnieć, brzmiał - Rakowiecka 2. Co dziwniejsze, nie był to adres Hannibala w Kartaginie.

Religia w szkole

Z księdzem biskupem Władysławem Miziołkiem z Warszawy rozmawia Anna Bernat

- W myśleniu nad zachodzącymi w Polsce zmianami ustrojowymi obok aspektu politycznego i ekonomicznego ważny jest aspekt etyczny, duchowy. Ku czemu kieruje się obecnie praca duszpasterska Kościoła?

- Aspekt moralny i duchowy jest ważny w życiu każdego narodu. W obecnych przemianach za mało uwagi zwraca się na odnowę moralną. Sądzę, że jak został sformułowany program odbudowy gospodarczej, tak też powinien powstać program odbudowy moralnej. Dobrze, że jest taki czas, gdy o siłę moralną społeczeństwa może dbać zarówno państwo, jak i Kościół. I to już jest przykładem, jak wiele się zmieniło; dwie, jeszcze do niedawna przeciwstawne, siły: Kościół i państwo mają teraz ważne, zbieżne pole działania - muszą wspólnie zadbać o jakość duchową życia w tym kraju.

- Cześć lata Ksiądz Biskup przewodniczył Komisji ds. duszpasterstwa ogólnego i nadal bierze udział w jej pracach. Na czym polega istota działania tej komisji?

- Mogę wskazać dwa główne obecnie obszary działania Komisji ds. Duszpasterstwa Ogólnego, oba ważne i blisko związane ze zmianami społeczno-politycznymi, jakie zachodzą w naszym kraju. Są to: rola katolików świeckich w życiu Kościoła oraz problemy rodziny i wychowania. Naszą uwagę skupiają zwłaszcza sprawy rodziny. Dzieje się tak ze względu na skalę zaniedbań odziedziczonych z niedawnej przeszłości, na wyniszczenie warości, które doprowadziło do kryzysu rodziny. Jest też wiele innych spraw, z którymi każdy z osobna i społeczeństwo razem musi się uporać, a duszpasterstwo powinno w tym pomóc.

- Postulowany przez Episkopat powrót religii do szkół stał się faktem. Rutyna szkoły, stan tego środowiska, wyniszczonego przez lata rządów totalitarnych, mogą spowodować, że niski autorytet szkoły obniży wysoki autorytet Kościoła. Czy nie ma takich obaw?

- Nauka religii przy kościele ma dobre i złe strony, tak samo wprowadzenie, a właściwie powrót religii do szkoły ma swoje plusy i minusy. Pamiętajmy o sytuacji rodziny w naszym społeczeństwie. Dom nie jest w stanie zapewnić dzieciom należytego rozwoju duchowego. Przemyśleni, zapracowani rodzice poczuwają się przede wszystkim, co zrozumiale, do zabezpieczenia bytu dziecka. Na resztę nie ma czasu; ten, który pozostaje, bywa często tracony przed telewizorem. Sprawę wychowania religijnego niemal całkowi-

cie złożono w ręce Kościoła. Może nadziedził czas, by wychowanie dziecka, w większym stopniu, powierzyć dobrej szkole. Sądzę, że wychowanie obywatelskie, kulturalne i religijne powinno iść razem. Katechizacja dzieci i młodzieży niesie ze sobą podstawowe wartości etyczne, ważne w procesie wychowania. Dlatego też

Komisja Wspólna, złożona z przedstawicieli Rządu Rzeczypospolitej i Episkopatu, stanęła na stanowisku, że należy zapewnić możliwość pobierania lekcji religii w szkole tym uczniom, których rodzice wyrażą takie życzenie. Nie obawiam się, że religia poniesie uszczerbek dlatego, że będzie wykładana w szkołach. Przeciwnie, sądząc, że w szkole będzie to lepiej wyglądało; większa liczba uczniów skorzysta z lekcji religii, nauka będzie bardziej systematyczna. Ma to swoje znaczenie, zwłaszcza na wsiach, gdzie dotąd dzieci z uwagi na uciążliwość, daleką drogę nie zawsze mogły dojechać na katechizację. Również w miastach, np. w Warszawie, stykam się z tym, że współpraca Kościoła i szkoły jest przez nauczycieli mile widziana. Oczekuje się, że wraz z powrotem religii, wraz z obecnością w tym środowisku osób duchowych, nastąpi wzmocnienie elementu etycznego w życiu szkoły i jej uczniów.

- Nauczanie religii w szkole może odsłonić braki programowe, metodyczne, personalne. Jest chyba za mało katechetów, zakonników, księży, którzy mogliby poprowadzić katechizację na odpowiednio wysokim poziomie?

- W zakonach jest wiele wykształconych osób. Myślę, że właśnie zakony wspomogą kadry katechetów.

- Nie zawsze wykładówką religii będzie osoba duchowna...

- Mamy wielu absolwentów uczelni katolickich. To dobre szkoły, dające rzetelną wiedzę. Dotychczas było dużym zmartwieniem, że absolwenci KUL, ATK nie mogli znaleźć odpowiedniej pracy. Teraz pojawiają się dla nich nowe możliwości. Od kilku lat istnieją: Papieaska Akademia Teologiczna i Wyższe Studium

Teologiczne dla Świeckich. Stamtąd zapewne przyjdą z pomocą teolodzy świeccy. Wiedzę już mają, być może trzeba będzie zorganizować dla nich tylko kursy pedagogiczne. Jedno jest pewne: będziemy się starali, by do szkoły nie trafił nikt przypadkowy. Nauczycielem religii będzie mogła zostać wyłącznie osoba wskazana przez biskupa diecezji, na terenie której się szko-



Biskup Władysław Miziołek

fol. J.M. Goliszewski

ła znajduje. Osobną uwagę należy poświęcić sprawom merytorycznym, programowi. Poprzez katechizację Kościół wypełnia swoje naczelne zadanie: nauczania i wychowania, które należą do istotnych, konstytutywnych cech jego misji, bez których Kościół nie byłby tym, czym jest.

Niewątpliwie w powrocie religii do szkół kryje się postulat nowego przemyslenia dotychczasowego programu katechizacji.

- W dyskusji nad wprowadzeniem religii do szkół dość powszechnie odwoływano się do rozwiązań funkcjonujących w Polsce przedwojennej lub do stosowanych obecnie w państwach zachodnich. Tymczasem sytuacja w Polsce postkomunistycznej jest zupełnie inna, trudno też o rzeczywiste analogie z Zachodem. Co zatem legło u podstaw Instrukcji wydanej przez Ministerstwo Edukacji Narodowej?

- W krajach chrześcijańskich zachodniej Europy, wszędzie, poza Hiszpanią, nauka religii odbywa się w szkole. Kościół nasz wskazuje na ten przykład i odwołuje się też do praktyki przedwojennej. Ale to racja, że dzisiaj sytuacja jest inna, że należy czerpać z własnych, szczególnych i licznych doświadczeń. Przypomnę, że po wojnie religia była trzykrotnie ze szkół usuwana: na początku lat pięćdziesiątych, po przywróceniu jej w 1956 wyrugowano ją w 1959 i ostatecznie w 1961. Obecnie Instrukcja Ministerstwa Edukacji Narodowej, dotycząca powrotu religii do szkoły w roku 1990/91, ma charakter rozwiązania tymczasowego. U jej podstaw legły zasadnicze wskazania, jak w sposób najbardziej prosty i praktyczny rzecz tę przeprowadzić, bez narażania czykolwiek uczyć. Znający swoje środowisko dyrektorzy szkół zostali upoważnieni do wyboru nieskrępowanej formy wyrażania decyzji rodziców, dotyczącej uczęszczania, bądź nie, ich dzieci na lekcje religii. W starszych klasach, tj. w szkołach ponadpodstawowych, taką decyzję mogą podejmować także sami uczniowie.

- Przez lata toczyła się w Polsce walka o utworzenie społeczeństwa obywatelskiego. Teraz słychać głosy, że w imię poszanowania praw jednostki państwo powinno czuwać nad tym, by większość nie narzucała swych poglądów mniejszości. Chodzi nie tylko o wolność sumienia i wyznania, ale też o prawo do nieujawniania swego wyznania. Wprowadzenie religii do szkoły jest często odbierane jako przejaw braku wyczulenia na wolność innych.

- Nie można pozwolić na to, by w społeczeństwie obywatelskim niekatolicy, czy niewierzący czuli się obywatelami drugiej kategorii, jak przez długie lata czuli się nimi ludzie wierzący w tym kraju. Trzeba jednak też uwolnić się od przereakcji spadku po komunizmie, kiedy oficjalna teza o oddzieleniu Kościoła od państwa była podbudowywana koniecznością traktowania religii jako sprawy ściśle prywatnej. Były to czasy, gdy cnało, by Kościół zamknął, oddzielił się od życia, świata, ograniczył do spraw, które mogły się rozgrywać wewnątrz, za jego murami. Trudno się dziwić, że teraz społeczeństwo, w swej przewadze katolickiej, dąży do zaznaczenia swojego poglądu i postawy wiary w życiu publicznym, choć, by jego młode pokolenia były wychowywane w duchu religijnym, chrześcijańskim. Ani większość mniejszości, ani mniejszość większości nie powinny narzucać swoich przekonań.

- A jednak zdarza się, że dochodzi do



Bp Władysław Miziołek z prof. Januszem Boguckim, animatorem wystawy "Apokalipsa—światło w ciemności, w warszawskim kościele Św. Krzyża w czasie otwarcia ekspozycji.

fol. Jarosław M. Goliszewski

przejawów nietolerancji wobec mniejszości etnicznych, politycznych czy wyznaniowych, utrzymuje się skłonność do lansowania stereotypu Polaka-katolika. Czy zatem możliwe będzie uchronienie dzieci nie biorących udziału w lekcjach religii przed nietolerancją, presją bądź ostracyzmem otoczenia?

- Nie mam poczucia, że żyję w nietolerancyjnym kraju. Mnie się zdaje, że Polska zawsze była tolerancyjna. Pamiętam, że przed wojną w szkołach nie było żadnych nieporozumień na tle wyznaniowym. W szkole średniej, do której chodziłem, byli ewangelicy, żydzi i katolicy, i nie dochodziło do najmniejszych waśni na tym tle. My mieliśmy lekcje religii z księdzem katolickim, ewangelików uczył pastor, żydzi chodzili na naukę do rabina. Było zrozumiałe, że każdy się kształcił w swojej wspólnotce religijnej.

- Nauczanie religii katolickiej w szkole zrodzi postulat równouprawnienia pod tym względem wszystkich innych wyznań w naszym kraju. Co wtedy?

- To równouprawnienie jest faktem; jest to też ujęte w Instrukcji, że system oświatowy zapewnia nauczanie religii innym wyznanom i Kościołom na zasadach przewidzianych dla Kościoła katolickiego, chyba że poszczególne Kościoły lub związki wyznaniowe wystąpią o ustalenie innych zasad. Biskup Tranda z Polskiej Rady Ekumenicznej zapowiedział już wydanie osobnej instrukcji, utrzymana będzie w tym duchu, że tam gdzie np.

jest większa liczba ewangelików, nauka religii odbywać się będzie w szkole, natomiast tam, gdzie uczniów ewangelickich będzie mało, przychodzić będą na lekcje do pastora, do zboru. Inna rzecz, że tamte Kościoły mogą mieć kłopot ze znalezieniem katechetów. Na przykład ewangelicy na Śląsku Cieszyńskim mają zorganizowane parafie i odpowiednią liczbę pastorów i z pewnością sobie poradzą. Trudniejsza może być sytuacja z prawosławiem na przykład na Białostocczyźnie, gdzie katechizacja przy parafiach nie w całym zakresie była zorganizowana.

- Uświadomienie sobie głębi własnej wiary służy wszystkim, praca na rzecz ekumenizmu jest związana z rozwojem wiary. Czy nie ma Ksiądz Biskup odczucia, że coś dzieje się wbrew tendencjom ekumenicznym, że dochodzi do pęknięcia z winy katolików?

- Nie sądzę, większe jest prawdopodobieństwo podziałów na tle narodowościowym. Przywołam znowi przykład sprzed wojny. W Warszawie cieszyło się dużym uznaniem gimnazjum im. Mikołaja Reja, w którym połowę uczniów stanowili ewangelicy, połowę katolicy, a sama szkoła była prowadzona właśnie przez ewangelików. Kontakty między dobowymi ewangelickimi i katolickimi układały się jak najlepiej. Myślę, że do tego należy dążyć i obecnie. Spotkanie duchowych różnych wyznań na terenie szkoły może doprowadzić do zbliżenia ekumenicznego, a młodzież pozwoli wychowywać

w szacunku dla innych wspólnot. Szkoła może doprowadzić do spotkań, o których poza jej murami by nie doszło. Mam na myśli zwłaszcza wschód, gdzie przez długie lata między katolicyzmem a prawosławiem były rozdziały.

- Wprowadzone przed paroma laty do szkoły religioznawstwo uznane zostało za narzędzie ateistyczne, instrument do walki z Kościołem. Gdyby w dzisiejszych, zmienionych warunkach, zaproponowano uczniom solidną porcję wiedzy na temat korzeni i wartości kultury chrześcijańskiej, chrześcijaństwa na tle innych religii, zapewne zaakceptowałyby to wszyscy rodzice, a wiedza taka mogłaby dotrzeć do tych, którzy teraz na lekcje religii nie pójdą.

- Dzisiaj uczyć religii należy brać pod uwagę to, że zakres wiadomości człowieka ogromnie się rozszerzył. Nauczając religii katolickiej należy też przekazywać wiedzę na temat ekumenizmu, innych wyznań, innych religii pozachrześcijańskich. Z kolei dla tych, którzy na te lekcje nie przyjdą, religioznawstwo mogłoby być ciekawe i w przyszłości mogłoby zaowocować osobistym przemyśleniem sprawy wiary. Jednakże Kościół w katechizacji nie może poprzestać na samym wykładzie prawd wiary. Wychowanie chrześcijańskie jest bowiem procesem dwuwymiarowym: obejmuje przekaz wiary i kształtowanie postaw. Katecheza ma doprowadzić do osiągnięcia dojrzałej wiary, jak określił Sobór Watykański II, "katecheza zmierza do tego, by u ludzi wiara oświecona nauką stawała się żywą, wyraźną i czynną".

- Istotne wartości były jednak związane z katechezą pozaszkolną, choćby konieczność dokonania wyboru, poczucie więzi ze wspólnotą, i czy to nie dzieci biegnące na religię do swojego kościoła, swojego księdza, zakochiwali rodzinę w parafię?...

- Uczestniczenie w lekcjach religii w szkole też musi poprzedzić świadomy wybór. Sprawa ważną jest więc rodzin z parafią, i tę należy pielęgnować. Temu sprzyjać będzie przygotowywanie do Sakramentów Świętych, które będzie miało miejsce w Kościele, permanentna katecheza dorosłych, istnienie grup oazowych, charyzmatycznych i innych, które ożywiają wspólnotę. Życie wspólnoty nadal będzie koncentrowało się w parafii. Gdyby stało się inaczej, gdyby dzieci, młodzież, rodziny ograniczyły swój kontakt z Kościołem do niedzielnej Mszy Świętej, wszyscy ponieśliśmyby duże straty. Myślę, że będzie odwrotnie: dzieciom i młodzieży wydziej na dobre nauka religii w szkole, a w perspektywie wydziej to na dobre społeczeństwu, kiedy ukształtowani, uformowani młodzi wejdą w dorosłe życie.

- Dziękuję Księdzu Biskupowi za rozmowę.

Pytania zadawała:
Anna Bernat

■ "Wszyscy rodzice w szkole mojego syna byli przeciwni wprowadzeniu religii, ale wyrazili zgodę, by dzieci uczęszczały na zajęcia - ze zrozumiałych względów. Każda 'inność' jest przez dzieci tępiąca ze szczególnym okrucieństwem. Mój syn, drugoklasista, wrócił z religii i oświadczył: ksiądz kazał, żeby rodzice chodzili z nami co niedziela na mszę. Ja do kościoła nie chodzę, ale cóż było robić... Po pierwszych minutach kazania trzęsłam się z oburzenia. Msza dla maluchów, a ksiądz mówi o aborcji. Wzięłam syna za rękę i wyprowadziłam do domu. Po drodze pytał mnie uporczywie, dlaczego mamusie zabijają swoje dzieci." (Joanna Wesołowska, Warszawa)

■ "Syn wrócił ze szkoły i powiedział, że w niedzielę będzie święcenie tornistrów. Tornister może być bez książek, w środku tylko piórniki. Ja to wszystko mogę zrozumieć (choć niechętnie), ale dlaczego taką mszę wyznacza się na 9 rano? Niedziela to jedyny dzień, kiedy mogą się wyspać..." (Ewa Zagórska, Warszawa)

■ "W naszej szkole lekcje odbywają się na trzy zmiany, ostatnia kończy się o 18.30. Naprawdę nie ma już gdzie upchnąć religii, gdyż ostatnia grupa wychodziła o 21.00. Dyrektorka zwróciła się do proboszcza z prośbą o udostępnienie przestronnych, nowo wybudowanych sal katechetycznych. Ksiądz odpowiedział, że owszem, ale on może najwyżej wydzierżawić, odpłatnie te sale. Szkoła nie ma pieniędzy, wróciłabym do punktu wyjścia." (J.M., personalia tylko do wiadomości redakcji)

■ "W przedszkolach wygląda to różnie, tam, gdzie chodzi moja córka religia jest tylko w zerówce, w innych już i dla maluchów. Jednakowo natomiast wszędzie to wygląda. Dzieci muszą przede wszystkim umieć się przeznęcać. Zamiast wprowadzić jakiś element atrakcji, formę zabawy, zmusza się dzieciaki, żeby bezmyślnie klepały: "w Imię Ojca...". Ciekawe, jak szybko się zniechęca." (Ewa Jabłonowska, miasto wojewódzkie)

■ "Sporo osób zapięło się na lekcje religii, ale na razie mało która z nich chodzi. Jest to traktowane raczej jako atrakcja. Każdy stara się zadać księdzu jakiś podchwytliwe pytanie, np.: czy to prawda, że zakonnikom nie wolno tańczyć, albo czy życie w celibacie nie jest udręką? Ksiądz jest miłody i przyjmuje to konwencje. Ale to się chyba szybko ludziom znudzi, zwłaszcza gdy zacząć uczyć się do matury." (Uczeń Liceum im. Kochanowskiego)

■ "Ksiądz właściwie już zachowuje się w szkole jak udzielny władca. Powiedział, że niedopuszczalne jest, by stopień z religii nie miał wpływu na promocję do następnej klasy i że to wszystko na pewno zostanie załatwione. Powiedział również dzieciom, że jeśli ich rodzice nie chodzą do kościoła, będą smażyć się w piekło." (Maria B., Wrocław)

■ "Dyrektorka szkoły podstawowej wywiesiła ogłoszenie: 2 września odbędzie się msza św., obecność obowiązkowa. Nie pomogły nawet interwencje w kuratorium. Jeden z radnych złożył formalny wniosek o wszczęcie postępowania karnego. Ciekawe, czy ujrzy on światło dzienne?" (Andrzej Ś., Łomianki)

■ "Jestem ojcem samotnie wychowującym córkę. Córka chodzi do pierwszej klasy, jest bardzo przejęta religią i tym, co ksiądz mówi. A ksiądz mówi, że spotykamy się w każdą niedzielę wszyscy na mszy: uczniowie oraz rodzice. Jestem prawnikiem i chciałbym przypomnieć, że art. 196 kodeksu karnego mówi: 'Kto zmusza inną osobę do podjęcia czynności religijnej lub do udziału w obrzędzie religijnym (...) podlega karze pozbawienia wolności do lat 5'. Póki co ten przepis nie został zlikwidowany." (Paweł Jankowski, Warszawa)

■ "W naszej klasie trzy osoby nie chodzą na religię, dwóch chłopców i dziewczynę. Ta koleżanka trochę głucho się czuje, bo ci dwaj chłopcy trzymają się razem, a ona jest sama i coraz dalej od nas. Czasem po religii rozmawiamy sobie z dziewczynkami na różne tematy, a ona jest zawsze jakos tak z boku. Nikt z chodzących na religię nie jej nigdy nie powiedział, ale stało się coś takiego, że ona się oddaliła. Kilkakrotnie namawiałam ją, żeby chodziła na religię, ale odmówiła. Ksiądz zapytał nas kiedyś, czy wolicilibyśmy mieć religię w kościele czy w szkole i większość wybrała kościół." (Kasia Rajczak, lat 13)

■ "W klasie, w której uczę, wszyscy na religię chodzą, stąd problemów z odrzuceniem i intolerancją nie zauważyłam. Uczeń z innej klasy zdecydowanie odmówił chodzenia na lekcje religii, ale nie słyszałam, aby miał z tego powodu jakieś nieprzyjemności. W głębi serca uważam, że szkoła nie jest dobrym miejscem na katechizację. Byłam przekonana, że sprawdzą się czarne rokowania. W tej chwili, kiedy nie dostrzegam poważniejszych konfliktów, trochę się uspokoiłam." (Katarzyna Krupa, nauczycielka w Liceum Ogólnokształcącym w Warszawie)

■ "Ja na religię nie chodzę i nie spotkałem się z jakimiś przykroczeniami. Ale na podstawie rozmów z kolegami zorientowałem się, że może powstać problem 'niekompetencji' księży prowadzących w szkołach katechizację." (Kacper Lisowski, uczeń Liceum Ogólnokształcącego im. Stefana Batoryego w Warszawie)

■ "Działalność ekumeniczna Jana Pawła II jest po prostu znana. Dlaczego w Polsce wyznawcy prawosławia (dotyczy to również protestantów, unitów, muzułmanów) mają być już w dzieciństwie napiętnowani jako 'gorsi'? A przy okazji, katolickie Włochy właśnie w latach osiemdziesiątych przeniosły katechizację ze szkół do parafii." (Dariusz Banek, student Uniwersytetu Warszawskiego)

§ USTAWA
ROZWODOWA

§ USTAWA
O NAUCZANIU
RELIGII W SZKOŁACH

§ USTAWA
ANTYABORCZYJNA



Wspólnoty wyznaniowe

Zbigniew Mikolejko

W cieniu katolicyzmu

W byłej PRL sprawa religii jawiła się jako dramat dwóch przeciwstawnych sił: komunistycznej władzy i katolickiego społeczeństwa. Przysłał on inny dramat - ubezwłasnowolnienia i podporządkowania, a często likwidacji mniejszości religijnych. Na los małych wspólnot wyznaniowych wpływały także pewne procesy globalne (zła sytuacja gospodarcza, represje wobec mniejszości etnicznych i towarzysząca im emigracja), wykruśzając je i niwecząc. Z drugiej jednak strony proces stałego kryzysu władzy i gospodarki umacniał te ruchy religijne, które łatwiej asymilowały ludzi niedostosowanych. W tym między innymi tkwi tajemnica rozprzestrzeniania się w latach osiemdziesiątych buddyzmu, który nakazuje pogodzenie się z cierpieniem. Na tym także polega wzrost ruchów mistyczno-charyzmatycznych (kościół zielonoświątkowy), nie mówiąc już o ekspansywności najpoważniejszego z ruchów badackich - Świadków Jehowy. Ci ostatni sukces swój zawdzięczają podporządkowaniu całego życia nie tylko religijnemu, ale i politycznemu, że tworzą sektę hierarchiczną, z określoną strukturą zależności. Sprawy zewnętrzne, np. polityka, są dla wiernych całkowicie nieważne, liczą się jedynie prawa wiary, odpowiadające na wszystkie pytania. Na dodatek jehowitom towarzyszyła aura męczeństwa - jako ruch pacyfistyczny



Zwierzchnik Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w Polsce bp Zdzisław Tranda odprawia nabożeństwo

fol. J.M. Goliszewski



Św. Góra Grzbarka - prawosławna Jasna Góra

fol. J. M. Goliszewski

i niechętny wobec władzy świeckiej byli w PRL mocno prześladowani. Jednak za czasów Gomułki w umysłach "czynowników" Urzędu ds. Wyznań zrodził się pomysł zalegalizowania Świadków Jehowy tak, aby ich ekspansywność szkodziła Kościołowi katolickiemu. Ówczesne KC odrzuciło jednak tę koncepcję. Teraz jehowici stanowią (po katolikach i prawosławnych) najliczniejszą grupę wyznaniową i działają legalnie.

Postawa władz PRL znakomicie ilustruje zasady komunistycznej polityki wyznaniowej wobec mniejszości. Chodziło w niej tylko o jedno: w jaki sposób uczynić z nich narzędzie walki z katolicyzmem. Celowi temu przypisano szereg instrumentów. W pierwszym rzędzie służył mu proces legalizacji małych grup wyznaniowych, często przed wojną prześladowanych. Z reguły odbywało się to z ingerencją w ich statuty, z narzucaniem na stanowiska kierownicze osób posłusznych władzy. Dążono też do zmniejszenia powagi przywódców religijnych, wymuszając na związkach wyznaniowych poddanie się zarządowi ludzi świeckich (taki los spotkał m.in. karaimów, wyznawców judaizmu i muzułmanów). Wiele wspólnot rejestrowano jako stowarzyszenia zwykłe, a więc takie, których istnienie zależało od administracji państwowej.

Do najciekawszych rysów komunistycznej polityki wyznaniowej w Polsce należał fakt, że aż do schyłku lat osiemdziesiątych wyrażała ona interesy rosyjskiej Cerkwi prawosławnej. Prowadziło to - po pierwsze - do osłabienia suwerenności (autokefalii) Cerkwi polskiej, po drugie - do negacji grekokatolicyzmu. W pierwszej sprawie zabieg był prosty: w 1948 r. zmuszono Cerkiew polską do odesłania aktu autokefalii do Konstantynopola (tamtejszy patriarcha nadał ją naszej Cerkwi w 1924 r.) i przyjęcie jej z Moskwy. Sprawa grekokatolicyzmu miała się jeszcze gorzej: najpierw jego wyznawców, zwanych unitami (w większości Ukraińców, Bojków i Lemków), przesiedlono na tzw. Ziemię Odzyskaną w ramach akcji "Wisła". Część unitów cerkwi została zburzona, część stała się własnością "niczyj" i uległa stopniowej dewastacji, resztę oddano Cerkwi prawosławnej lub Kościołowi katolickiemu. Unicy duchowni trafili do obozu koncentracyjnego w Jaworzu, bądź zostali wydani Związkom Sowieckim (gdzie ponieśli śmierć). Do 1956 r. grekokatolików obowiązywał zakaz praktyk kultowych, później represje stopniowo słabły. Jednak dopiero od 2-3 lat sytuacja uległa widocznej poprawie - kult stał się legalny, pozwolono na funkcjonowanie wikariusza generalnego, grekokatolicy powoli odzyskują swe miejsce kościelne (co wiąże się z powrotem części wygnanych w ramach akcji "Wisła" na rdzenną terytorię). Odzyskują również swą tożsamość Ormianie. Powiada się, że

jest ich 4-15 tysięcy, choć górny szacunek jest zapewne przesadzony. Wokół kościoła w Gdańsku (którym zarządza niedawno mianowany wikariusz generalny obrządku ormiańskiego, ks. Kazimierz Filipiak) skupionych jest około 40 rodzin ormiańskich. W Gliwicach ks. Józef Kowalczyk tworzy środowisko bliskie tradycji orientalnej, dyzunnickiej.

Na tym jednak pozytywny proces w obrębie polskich mniejszości religijnych się kończy, reszta jest sprawą podsumowania strat iłociowych. Chodzi głównie o środowiska protestanckie z dawnej Rzeczy: Niemców, Ślązaków, Kaszubów, Kabatów, mieszkających Warmii, Mazur i Powiśla. Pod ciśnieniem represyjnej polityki narodowościowej komunistów, kryzysu gospodarczego, agresywności grup napływowych, wielu z nich wychodziło do Niemiec. Dotknęło to m.in. mormonów (składających się głównie z Mazurów i Kaszubów), których Kościół musiał zrekonstruować się trzykrotnie, a także Kościół Nowoapostolski (Mazury), który stopniowo do czwartej części stanu pierwotnego, zaś po 1956 r. ogarnęło metodą polski. Spośród 7 tysięcy metodystów 5 tysięcy stanowili Mazurzy z tzw. ruchu gromadkarskiego, nie akceptującego niemieckości lokalnego luteranizmu.

Nie tylko protestantyzm stał się ofiarą wyjazdów, również starowierzy obydłom mazurskich ("fiedosiejewcy" i filipon) uznali się w ostatnim okresie za Niemców i porzucili rodzinne strony. Dziś w centrum mazurskiego starowieria (Wojnowo i okolice) żyją załdwie dwie stare minisiki "fiedosiejewskiego" klasztoru i kilkudziesięciu filiponów (w 1947 r. było ich 500). Kilka grup tego drugiego odłamu starowierów żyje jeszcze w okolicach Augustowa. Pod wpływem represyjnej polityki władz (rok 1968) skurczyła się też liczba wyznawców judaizmu.

Pewną szansą dla podporządkowanych i represjonowanych dotąd grup mniejszościowych (a wraz z grekokatolikami stanowią one ok. 4% ludności - od 1,3 do 1,6 mln) jest ekumenizm i otwarta postawa Kościoła katolickiego. Nie chodzi tu tylko o wspólne, ekumeniczne msze wielu wyznań, które są najbardziej widocznym przejawem tego zjawiska. Dotyczy to w pierwszym rzędzie otwierania się na wartości religijne i kulturowe zawarte w nauczaniu i tradycji różnych religii. W tym względzie istotne okazały się inicjatywy katolickich intelektualistów skupionych wokół "Znaku", "Wiedzi", "Tygodnika Powszechnego" i podejmujących dramatyczną nieraz obronę mniejszościowych religii i kultur. W tym kierunku zmierzają również ekumeniczne tygodnie w warszawskich kościołach na Żytniej czy wyaski książki werbitów z Piętnięcia. Główny jednak ciężar w znoszeniu barier i likwidacji napięć między katolicyzmem a małymi wyznaniami spoczywa na kierownictwie od lat przez biskupa Władysława Miziołkę Komisji Episkopatu do spraw Ekumenizmu. Z licznych jego inicjatyw wymienię tylko jedną, łagodzącą po dziesiątkach lat prześladowań i konfliktów barierę między katolicyzmem a mariawizmem obu odłomów - chodzi o piękny list "Do braci Mariawitów".

Jednak w nowej sytuacji na ekumenizmie, kształtowanym z takim trudem, pojawiły się dramatyczne rysy. Wiąże się o restauracja katolickiego integralizmu, nierzadko w ostrej postaci, a więc z wtapianiem się Kościoła w strukturę życia państwowego - w szkoły urzędy, policję, wojsko, itp.

Wyznania religijne w Polsce

Nazwa wyznania	Liczba wiernych	Nazwa wyznania	Liczba wiernych
KATOLICYZM			
A. Kościół rzymskokatolicki	92-94%	- Kościół Chrześcijański Dnia Sobotniego w Polsce	470 osób
- Kościół obrządku łacińskiego	?	- Nowoapostolski Kościół w Polsce (inwincjanie)	0,3-1,3 tys.
- Kościół obrządku wschodniego (grekokatolicki)	300-500 tys.	- Kościół Jezusa Chrystusa Świętych Dni Ostatnich w Polsce (mormoni)	30-70 osób
- Neomnici	1 parafia	- Stowarzyszenie Chrześcijańskiej Nauki, Związek Wyznaniowy (Christian Science)	ok. 15 osób
- Kościół obrządku ormiańskiego	?	- Zbór Chrześcijan bez Osobliwego Wyznania ("darbyści", "bracia zamknięci")	ok. 90 osób
B. Kościoły nirodowe		- Ewangeliczne Stowarzyszenie Modlitwy	ok. 10 osób
- Kościół Starokatolicki Mariawitów	ok. 25 tys.	- Stołica Boża i Barankowa Apostołów w Duchu i Prawdzie, Alfa i Omega, Początek i Koniec	16 osób
- Kościół Katolicki Mariawitów	ok. 3,9 tys.	- Uczniowie Chrystusa	?
- Kościół Polsko-Katolicki	30-48,3 tys.		
CHRZĘŚCJAŃSTWO WSCHODNIE			
- Ormianie dyzunicy (monofizyci)	?	- Związek Religijny Wyznania Mojżeszowego	1,7-1,8 tys.
- Polski Autokatolicki Kościół Prawosławny	400-852 tys.	- Karaimski Związek Religijny	200-300 osób
- Sekty prawosławne (chijici, zielonoświątkowcy, zwolennicy "starej Rusputiny" i in.)	?	- Muzułmański Związek Religijny	1,7-3 tys.
- Wschodni Kościół Staroobrzędowy (filipon)	1,5-2,6 tys.	- Stowarzyszenie Buddyjskie Zen "Kwanin" (dawnie "Czogie")	450 osób
- "Fiedosiejewcy" (odłam staroobrzędowców)	1 klasztor	- Związek Buddyistów Zen "Sangha"	212 osób
		- Stowarzyszenie Buddyjskie Karma Kagyu	443 osoby
		- Hare Kriszna	?
		- inne religie pochodzenia hinduskiego	?
		- tajne sekty pochodzenia orientального, afrykańskiego, karaibskiego itp.	?
PROTESTANTYZM			
A. Wyznania najstarsze (XVI-XVIII w.)		ZJAWISKA Z POGRANICZA RELIGII I PARARELIGIE	
- Kościół Ewangelicko-Augsburski (luteranie)	ok. 75 tys.	- Stowarzyszenie Brahm Kumaris Raja Yoga	ok. 50 osób
- Kościół Ewangelicko-Reformowany (kalwinisci)	ok. 4,5 tys.	- inne nury jogi	?
- Polski Kościół Chrześcijański Baptystów	ok. 6 tys.	- teozofia	?
- Kościół Metodystyczny	4,2-6 tys.	- okultyzm	?
- Mennonici	?	- spirytizm i spirytualizm	?
- Kwakrzy	?	- wschodnie szkoły walki (niektóre)	?
B. Nowarianie (unitarianie)		- satanizm (lucyferianizm, szatanizm, Kościół Kirke i in.)	2
- Jednota Braci Polskich	50-88 osób		
- Zbór Panmonistyczny	13 osób		
- Jednota Braci Polskich Unitarian	10-20 osób		
C. Ruchy badackie			
- Stowarzyszenie Badaczy Pisma Świętego w Polsce	411-460 osób		
- Zrzeszenie Wolnych Badaczy Pisma Świętego. Centrala na Polsce	2,7-3 tys.		
- Świecki Ruch Misyjny "Epifania"	2-4 tys.		
- Stołica Apostolska w Jerozolimie	?		
- Chrystusie	30 osób		
- Świecki Ruch Przyjaciół Człowieka "Anioł Pański"	?		
- Świadkowie Jehowy	70-100 tys.		
D. Kościoły zielonoświątkowe			
- Zjednoczony Kościół Ewangeliczny	8-17 tys.		
- Kościół Wolnych Chrześcijan	1-1,8 tys.		
- Kościół Chrystusowy	5,3-5,8 tys.		
- Protestantka Wspólnota Regionu Bieszczadzkiego	449 osób		
E. Pozostałe wyznania protestanckie			
- Kościół Adwentystów Dnia Siódmego	8-10 tys.		

Odżyją dwory?

Rozmowa z Zygmuntem Rakowieckim, prezesem Polskiego Towarzystwa Ziemiaństwa

- Podobno na I zjeździe byłych właścicieli ziemskich zebrało się dobre towarzystwo, nie brakowało nazwisk historycznych. Prasa ze zgrozą doniosła, że na bramce stał Mikołaj Radziwiłł, któremu w dodatku odmówiono prawa członkostwa.

- Na zjeździe było około siedmiuset osób, prawo głosu miało ponad trzysta. Nie analizowałem listy obecności, ale chyba przedstawiciele utytułowanej arystokracji nie było zbyt wielu. Mikołaj Radziwiłł faktycznie nie może być członkiem Polskiego Towarzystwa Ziemiaństwa, bo żyje jego ojciec. Tymczasem w myśl statutu prawa członkowskie przysługują tylko właścicielom majątków ziemskich bądź ich spadkobiercom. Sprawę rozszerzenia zakresu członkostwa dyskutowano na zjeździe. Byli zwolennicy poglądu, że do Towarzystwa powinni być przyjmowani wszyscy związani ze środowiskiem ziemiańskim. Moim zdaniem niepotrzebnie przenosiłoby to ciężar działalności na pielęgnowanie tradycji ziemiańskich.

- Nie jest Pan sentymentalny?

- Mój zawód nie predystynuje mnie do tego, a poza tym nie mam w sobie nic z kombatanta rozpamiętującego swoje przeszłe dzieje i zasługi. To nie znaczy, że nie interesuję się przeszłością. Bardzo lubię historię. Ale bardziej od przeszłości ziemiaństwa interesuje mnie jego przyszłość.

- "My nie mamy rozrachunków z chłopami, my mamy rozrachunki z państwem" - po tych Pana słowach z trybuny zjazdowej na sali rozległy się oklaski. Ale nazajutrz "Trybuna" pełna obaw sugerowała "powrót jaśnie pana" na włość i odbieranie chłopom ziemi.

- Nie chcemy domagać się unieważnienia dekretu o reformie rolnej z 1945 roku. Uważamy natomiast, że należy



Zygmunt Rakowiecki fot. J.M. Goliśzewski

ZYGMUNT RAKOWIECKI

(1.65), kawaler, syn przedwojennego właściciela majątku Leszno pod Przasnyszem (500 ha). W 1939 majątek znalazł się na terenach włączonych do III Rzeszy i skonfiskowali go Niemcy, po wojnie rozparcelowały polskie władze. Od 1940 r. mieszka w Warszawie, uczestnik Powstania Warszawskiego, jeniec wojenny, absolwent prawa UW, radca prawny ze specjalnością handel zagraniczny, członek kolegium arbitrow przy Polskiej Izbie Handlu Zagranicznego.

zmienić postanowienia dekretu odmawiające właścicielom prawa do odszkodowania za zabrane majątki. Ziemianie są jedyną grupą społeczną, z którą tak postąpiono, bo już np. właścicielom fabryk przyznano pewne rekompensaty. Inna rzecz, że ich nigdy nie wypłacono. Ziemianom zabrano nie tylko ziemię ale także domy z gromadzonymi przez pokolenia dobrami materialnymi i kazano wynosić się jak najdalej. Dobrze jeśli na furmankę pozwolono załadować parę rzeczy. Wysiędlenie ziemian z domów nie różniło się od wysiedlania stosowanego przez okupantów.

- Dlaczego właśnie z ziemiaństwem postąpiono tak brutalnie?

- Chodziło o to, aby w imię utopijnej doktryny, podporządkowanej polityce ZSRR, zniszczyć tę warstwę społeczną bezpowrotnie. Przez całe powojenne lata trwała dyskryminacja ziemian, których stalinowska propaganda przemianowała na "obszarników". Nie wolno było im się osiedlać w powiatach, gdzie znajdowały się ich skonfiskowane majątki. Młodzieży blokowano dostęp na studia, a osobom dorosłym odmawiano prawa do pracy. Pamiętam, że moja matka długo szukała pracy, w końcu pracowała w ognisku muzycznym jako nauczycielka gry na fortepianie. Niszcząc ziemiaństwo wyrządzono wielką szkodę polskiej wsi, bowiem dwór zawsze stanowił pewien wzorec życia na wsi. Majątek moich rodziców, jedno z najlepszych gospodarstw w okolicy, był dla wsi przykładem dobrego zarządzania a dwór - wzorem godnego życia.

- Dziś te dwory znajdują się w kompletnej ruinie.

- No, wie pani, o niczyje się nie dba i większość ulega dewastacji. Na naszym zjeździe wyświetlano film pod znamien-

szym tytułem "Hunowie", pokazujący pałac Karskich przed reformą rolną. Ruina. Według urzędowych danych zaledwie 10 proc. odebranych dworów i pałaców znajduje się w przyzwoitym stanie.

- Czy byli właściciele mają ochotę na przejmowanie tych szczątków?

- Przede wszystkim muszą być rozstrzygnięte podstawy prawne zwrotu majątku pozostającego jeszcze we władaniu państwa. Z chwilą gdy odrzucono elementy ideologiczne i pseudogospodarcze, które kiedyś stanowiły podstawę konfiskaty, brak jest jakichkolwiek racji, aby państwo sprzedawało ten majątek. Takie działanie można by porównać z paserstwem. A jedyną możliwością odzyskania dworów i pałaców jest odkupienie ich od państwa przy konkurencji innych nabywców. Oczywiście zwrot zabranych nieruchomości musi nastąpić na wniosek eks-właściciela. Nie można nikogo na siłę uszczęśliwiać ruinami, tym bardziej, że większość z nas nie ma środków na ich odbudowę. Myślę, że wiele osób zwłaszcza z młodego pokolenia chętnie wróciłoby do swych rodzinnych posiadłości i podjęło trud odbudowy. Smutne, gdy niektórzy muszą odkupować swoje dwory z przyległościami od kogoś, kto umiał szybko dogadać się z gminą i często za grosze nabył ziemiańskie zabudowania.

- Sądzi Pan, że przy obecnym stanie naszej gospodarki roszczenia ziemian są realne i na miejscu?

- Uważam, że z punktu widzenia moralnego i prawnego dawni właściciele mają prawo do odszkodowania. Nie myślę o odszkodowaniach pieniężnych, które na pewno stanowiłyby dla budżetu państwa zbyt wielkie obciążenie. Natomiast całkiem realną formą zadośćuczynienia byłyby papiery wartościowe, za które można by wykupywać akcje prywatyzowanych przedsiębiorstw. Pozwoliłoby to na odtworzenie polskiego kapitału tak niezbędnego w procesie zmian modelu gospodarczego i prywatyzacji. Myślę, że na sprawę rekompensat dla byłych właścicieli ziemskich należy spojrzeć nie jak na jeszcze jedną klęskę, która spotyka nasze państwo ale jak na szansę. Środowisko ziemiańskie podczas ostatnich pięćdziesięciu lat przechowało szereg wartości, zachowało tradycje przedsiębiorczości i dobrego gospodarowania, toteż stworzenie tym ludziom pewnych podstaw finansowych będzie oznaczać nowe, korzystne impulsy dla naszej gospodarki.

Rozmawiała:
Ewa Kacprzycka



Dziś dwory znajdują się w ruinie

Za prywatnym czasopismem "Ziemianin" publikujemy listę dziesięciu największych właścicieli ziemskich w Polsce w 1922 r.

1.	Maurycy Klemens hr. Zamoyski	190 900 ha
2.	Karol Mikołaj ks. Radziwiłł	155 340 ha
3.	Jarosław hr. Potocki	134 830 ha
4.	Fiodor Ogarkow	89 270 ha
5.	Antoni Albrecht Wilhelm ks. Radziwiłł	80 000 ha
6.	Witold hr. Broel-Plater	60 010 ha
7.	Alfred Antoni hr. Potocki	50 650 ha
8.	Emanuel Małyński	48 350 ha
9.	Hermann bar. Groedel	44 810 ha
10.	Ferdynand Edmund ks. Radziwiłł	42 030 ha

U nas możecie kupować nie wychodząc z domu!

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

"EKSTREMA"

poleca największy w Polsce wybór książek Polskiej Fundacji Kulturalnej (wydawnictwo emigracyjne w Londynie). Ponadto oferujemy książki wydawnictw krajowych, m.in. "Editions—Spotkania", "Nowa", "Gryf", "Pomost", "Przedświt", "Versus" i "Wolumen".

Katalogi wysyłamy po otrzymaniu zaadresowanej zwrotnie koperty ze znaczkiem.

NASZ ADRES: 00-273 Warszawa 40
skr. poczt. 10

Korespondencja z USA

Cezary Stolarczyk

Czerwona Barbarella

"Żaden aktor ani aktorka naszych czasów nie zdołał wyprowadzić z równowagi i spędzić snu z powiek tak wielu ludziom jak Jane Fonda" - ten sąd amerykańskiej pisarki Susan Brownmille znajduje pełne uzasadnienie w życiorysie osoby znanej za granicą przede wszystkim jako gwiazda filmowa. Ale to, że Jane Fonda znalazła się na liście 38 "liderów opinii publicznej i intelektualistów" zaproszonych na lunch w Ambasadzie ZSRS w Waszyngtonie podczas czerwcowej wizyty Gorbaczowa, nie jest zasługą kreacji scenicznych czy artystycznych osiągnięć Fondy, lecz efektem docenienia zupełnie innego nurtu jej konsekwentnych poczynań. Nurtu, który aktorka zainicjowała 25 lat temu.

Najogólniej można go określić jako niechęć, nienawiść wobec Stanów Zjednoczonych i kapitalizmu połączoną z admiracją i sentymentem do ZSRS i komunizmu.

Już w 1965 roku Jane Fonda po raz pierwszy odwiedziła Moskwę i publicznie potępiła "amerykańską propagandę" skierowaną przeciwko komunistycznemu supermocarstwu. Przywołanie i przyjęcie jej jak osoby składającej oficjalną wizytę międzynarodową wysokiego szczebla nie nasunęło młodej kontestatorce drogi rozwoju swej ojczyzny żadnych podejrzeń; Fonda stwierdziła, że podróż ta otworzyła jej oczy na prawdziwy Związek Sowiecki. Skutki owego otwarcia oczu okazały się tym bardziej brzemienne, że wkrótce potem, gdy mieszkała w Paryżu, aktorka znalazła się pod wpływem (w pamiętnym roku 1968) Rogera i Elizabeth Vailland, pary zdeklarowanych francuskich komunistów, którzy stali się jej pierwszymi przewodnikami po świecie polityki i ideologii. Nie bez znaczenia były także nawiązane wówczas kontakty z przedstawicielami Wietnamskiego Frontu Wyzwolenia Narodowego i z Venessą Redgrave, aktywną trockistką, zwolenniczką Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Pierwszy mąż, francuski reżyser Roger Vadim, tak scharakteryzował dziennikarzowi swe nieudane małżeństwo z Fondą, której wymancypowanie i polityczne zaangażowanie, było znacznie silniejsze niż zainteresowanie wspólną cór-



W 1965 r. po raz pierwszy odwiedziła Moskwę.



Z mężem Rogerem Vadimem i córką Venessą.

ką Venessą: "Miałem wrażenie, że niańczy Lenina".

W 1969 roku, wkrótce po nakręceniu głośnego filmu "Czyż nie dobija się koni", będącego sugestywnym oskarżeniem bezwzględności systemu kapitalistycznego, Fonda wpada na pomysł zradykalizowania i uświadomienia politycznego żołnierzy amerykańskich przez występy w kantinach. Właściwie nie był to jej pomysł lecz jej chwilowego przyjaciela, marksisty i kolejnego politycznego guru, scenarzysty Freda Gardnara. Rok 1970 przyniósł kolejny ważki epizod w edukacji światopoglądowej przedstawicielki filmowej rodziny: Fonda staje się gorącą zwolenniczką marksistowskiego ugrupowania terrorystycznego Czarne Pantery, a zwłaszcza jego lidera, Hueya Newtona. Aktorka uważała, że "spośród wszystkich ludzi jakich zna, Newton jest jedynym bliskim świętości". Przywódca Czarnych Panter, nałogowy alkoholik i narkoman, został w ub. roku zastrzelony podczas transakcji narkotycznej.

Występując na wiecu w obronie swego przyjaciela z partii, George'a Jacksona, przeciw któremu odbywał się proces o działalność terrorystyczną, Fonda tak mówiła: "Procesy kryminalne wobec ludzi, których władze winowałyby nie widzieć, represjonowanie politycznych organizacji i tępienie idei przez eksterminację przywódców nie jest niczym nowym w tym kraju. To nie jest Los Angeles w 1970 roku, to jest Berlin w 1936 roku i wszyscy jesteśmy Żydami."

Jeszcze w tym samym roku Jane publicznie precyzuje swe poglądy polityczne: "Jestem gotowa poświęcić całą swoją energię sprawie rewolucji. Chcę zmienić amerykański system na socjalistyczny. Oczywiście, że jestem socjalistką." W listopadzie 1970 roku, włączając się w kampanię przedwyborczą, Fonda oświadcza, że wybory są bez znaczenia: "Nie głosuję. Stałam się cyniczna. Odpowiedzią jest rewolucja." Jako przykład społeczeństwa bliskiego pozytywnej utopii wymienia Kubę Fidela Castro.

W tym czasie Henry Fonda, coraz poważniej zaniepokojony kierunkiem i tempem rozwoju politycznego córki, rzekł jej: "Jane, jeśli kiedykolwiek odkryje, że jesteś komunistką lub szczerą

zwolenniczką komunistów, ja twój ojciec, pierwszy się z tobą rozstanie".

Jest rok 1971. Wojna wietnamska wkracza w dramatyczne stadium. Jane Fonda anonsuje powstanie organizacji FTA - rozwinięcie tego skrótu znaczy mniej więcej: pierdol armię i bierz się do podminowywania morale żołnierzy amerykańskich. Największych przestępstw (moralnych przynajmniej) przeciw swej ojczyźnie odtwórczyni roli Barbarelli, międzyplanetarnej gejszy, dopuszcza się jednak dopiero na terytorium komunistycznego Wietnamu najedźdźającego południową część kraju. Oprócz słynnego zdjęcia w hełmie za działem przeciwlotniczym komunistycznej armii, Fonda ma na sumieniu dziesięć propagandowych audycji swego autorstwa nagranych w radio Hanoi w 1972 roku, obliczonych na demoralizację i pogłębienie uczucia frustracji wojsk amerykańskich. Oto próbka jednej z audycji: "Z Hanoi mówi Jane Fonda. Zwracam się prywatnie do amerykańskich żołnierzy stacjonujących w Zatoce Tonkijskiej i do 7. Floty na południe od Wietnamu. Jesteście bardzo daleko, oddzieleni od kraju, każą wam wystrzeliwać pociski i zrzucać bomby albo osłaniać takie poczynania, które są zbrodniami wojennymi. Ludzie, którzy kazali używać wam tych broni, są w świetle prawa międzynarodowego zbrodniarzami wojennymi. W przeszłości, w Niemczech i Japonii ludzie, którzy dopuścili się tego rodzaju przestępstw, byli osądzani i skazywani na śmierć." Słowa takie miały deprymujący i upokarzający wpływ zwłaszcza na jeńców wojennych, których Wietnamczycy zmuszali do słuchania audycji "Hanoi Jane".

W 1975 roku Fonda jest znowu w ZSRR. Tym razem aby publicznie podziękować za pomoc, jakiej Rosjanie udzielali w czasie wojny Wietnamczykom. Do USA zaczynają powracać jeńcy wojenni. Opowiadają o szczegółach pobytu w obozach, relacjonują sposób traktowania, tortury, mówią o komunistycznych realiach. Dla wielu wcześniejszych przyjaciół Jane, pacyfistów i lewicowców, jest to już za dużo. Publicznie odcinają się od socjalistycznych sympatii i potępiają krwawe represje. Fonda pozostaje wierna swym przyjaciołom z Hanoi. Jak lwica rzuca się w wir polemiki domagając się, by powracających jeńców nie traktowano jako bohaterów lecz jako "obłudników i kłamców". "Historia surowo ich rozliczy" - konkluduje aktorka.

Jeszcze w latach osiemdziesiątych zdobywczyni Oscara za kreację w filmie "Klute" nie rezygnuje z roli adwokata wietnamskich komunistów, tak wyjaśniając stosowane na Półwyspie Indochińskim praktyki, m.in. czystki: "To jest kraj, który został całkowicie zniszczony wojną. Jestem przekonana, że muszą być podjęte



Roger Vadim: Miałem wrażenie, że namiętnie Lenin.

zdecydowane środki aby skupić ludność wokół dzieła odbudowy. Znaczy to także, że intelektualistom i mieszcuchom kaže się jechać na wieś i pracować na polach, a jeżeli nie chcą się do tego dostosować, są zmuszani siłą. Cóż, z naszej perspektywy jest to nieprzyjemne, ale ja nie mam na tyle wiedzy o tym, co się tam dzieje, aby krytykować.

W latach swego szczytowego zaangażowania po przeciwnej niż amerykańska stronie barykady, Jane Fonda była jedną z najbardziej zniechęconych osób w kraju. Jeszcze dwa lata temu organizacja weteranów wojennych z miasteczka Waterbury w Connecticut podjęła głośną akcję, aby nie dopuścić do nakręcenia w mieście filmu z jej udziałem.

Postępowanie Fondy jest co najmniej głęboko kontrowersyjne ale - co charakterystyczne i o wiele ważniejsze - było możliwe tylko i wyłącznie dzięki wolności panującej w jej kraju, dzięki możliwości nieskrępowanego wypowiadania sądów i podejmowania uważanych subiektywnie za słuszne akcji. Aktorka o agitatorskim zacięciu i typowej dla większości kobiet angażujących się w politykę postawie "córy rewolucji", wielokrotnie szermuje słowem hipokryzja, nieświadomie padając ofiarą tej przykrej przypadłości osobistej. Należy wspomnieć, antykapitalistyczna Jane jest kapitalistką całą głową, o majątku szacowanym na 60 mln dol.

Tego typu niedostrzeżenie sprzeczności w swym postępowaniu jest dla niej typowe, bo np. prowadzi zażartą kampanię przeciw operacjom plastycznym, a sama podnosiła sobie skórę na twarzy i likwidowała zmarszczki, a jednością jej biustowi przydają wkładki z silikonu.

Mimo tego raczej obciążającego, antypatriotycznego w bardzo patriotycznej Ameryce, dossier, Jane Fonda cieszy się dziś popularnością, np. jej kasety z ćwiczeniami aerobiku nie są bojkotowane. tłumaczy się to tym, że Amerykanie puścili jej w niepamięć dawne winy, do czego przyczyniła się zresztą i ona sama swą rozbijającą osobowością i tym, że w stylu zachowania i postępowania jest - jak twierdzi reżyser "Klute", Alan Pakula - kwintesencją amerykańskości...

Wszystkie niesmaczne sprawy Fondy przypomniane zostały ostatnio z okazji pojawienia się na rynku amerykańskim dwóch książek na jej temat. "Obywatelka Jane. Burzliwe życie Jane Fondy" Hristophera Andersona i „Jane Fonda. Biografia intymna” Billa Davidsona. Pierwsza z pozycji jest udokumentowanym i bezlitosnym oskarżeniem, opiera się na rozmowach ze współpracownikami, mężami aktorki a nawet na jej kartotece w FBI. Davidson jest bardziej wyrozumiały, mówi się, że nie chciał zrobić przykrości Henry'emu Fondzie.

Antysemityzm — antypolonizm

Anne Applebaum

Za mało Żydów

Jak nas widzą, tak nas piszą. W przeszłości nader często Polacy mieli pretensje — i nie pozbawione racji — że o polskim antysemityzmie piszą zjadliwie ludzie, których Polski nigdy nie widzieli, albo widzieli ją przelotnie, amerykańscy Żydzi, dla których Holocaust i rzeczywistość niemieckiej okupacji są taką samą abstrakcją jak Wojna Secesyjna dla ich przodków, bo ich dziadkowie przybyli do Ameryki mniej więcej w połowie między tymi wyda-

rzeniami, wówczas jeszcze nie zamerykanizowani, gdy oni sami już teraz od dawna są zdeuropeizowani. Oto więc głos kogoś, kto wywodząc się z tego środowiska do Europy powrócił i Polskę widział. Głos Polskę wprawdzie oskarżający, ale nie gołostownie. I głos rozsądnie kreślący różnicę między polskim, prząsnym antysemityzmem, a krwiożerczym antysemityzmem hitlerowskim czy rosyjskim (przyp. tłum. G.D.).

Wczoraj mechanik w warsztacie samochodowym nie był w stanie wymówić mojego nazwiska: „Jak? Heppelban? Eppelban? Może pani napisać?” Tego rodzaju konfuzje zdarzają się też i Anglikom, ale mechanik ów był Polakiem, rzecz się działa w Polsce, a przecież Ap-

plebaum (Apfelbaum) to nazwisko w gruncie rzeczy polskie. Ścisłej — polskozydowskie, w swoim czasie dość powszechne na obszarze polskojęzycznym, co najmniej od 1797 roku.

Wówczas to Prusacy, których zabór Polski rozciągał się aż po Warszawę, na swój pruski sposób doszli do wniosku, że polscy Żydzi muszą mieć nazwiska, które dadzą się wymówić. Według jednej wersji pruscy urzędnicy, pomni na wymagania podatkowe, nadawali nazwiska według stanu majątkowego Żydów: biedni zostawali Schwarzmami (Czarnymi), bogaci — Goldbergami (Złotogórkami). Ja sama sądzę, że nazwisko Apfelbaum (Jabłonka) było raczej owocem znużonej wyobraźni urzędniczej. Moja własna gałąź „Jabłonków” raz jeszcze podległa operacji zmiany nazwiska na bardziej nadające się do wymówienia jakieś trzy pokolenia później, za sprawą nowojorskich urzędników imigracyjnych. Potem Applebaumowie przenieśli się do Alabamy, gdzie ewolucja ich rodzowego nazwiska się zakończyła.

O ile Applebaumom z Alabamy można wybaczyć, że utracili więz z Polską o tyle dzi-

wić może, że tak niewielu Polaków jest w stanie rozpoznać to nazwisko, którego historia tak bardzo zająłaby się z ich własną. Jeszcze bardziej zaskakujące, że niewielu rozpoznaje je jako mutację nazwiska żydowskiego. To kolejny, smutny dowód na całkowite wykreślenie Żydów z rzeczywistości współczesnej Polski, kraju zamieszkałego niegdyś przez 3/4 wszystkich Żydów na świecie. Co prawda, możliwość podróżowania po kraju moich przodków incognito, nie rozpoznana jako Żydowska, ma swoje nieoczekiwane dobre strony. Podczas zeszłorocznych wyborów pojechałam do Bydgoszczy, aby porozmawiać z grupką nudnych, brodatych fanatyków żądających alternatywny „Solidarności”. Bardzo się ucieszyli, że zachodnia dziennikarka będzie o nich pisać i obficie częstowali mnie herbatnikami. Ale ich poglądy wydawały się niejasne. „Z Wałęgą nie ma żadnego problemu — mówili — co innego z częścią jego doradców”. Powołałam rozumieć, o co chodzi. Zaczęłam im zadawać pytania naprowadzające. Co mianowicie jest nie w porządku z tymi doradcami? Czy chodzi o politykę? O moralność? Czy brak im polskich-katolickich wartości? Może nie są Polakami? Dawali mi wymijające odpowiedzi. W końcu zdenerwowała ich moja naiwność i jeden wybuchnął: „Nie, nie. Pani nie rozumie — to są Żydzi, Wałęgę Żydzi opętali”.

Zaczęłam się śmiać bez opamiętania i nie mogłam przestać. Troglodyci zaniemówili. Nie chciałam ich zrazić, więc przeprosiłam i poszłam umyć twarz. Styszałam ich spanikowane szept. Uciekło im moje nazwisko, ale teraz w końcu skojarzyli: czarne włosy, amerykański akcent. „Ale trzeba jej wyjaśnić. W Polsce się teraz zmieniło... Nie jesteście



przecież antysemitami. Nie o to chodzi, że się akurat Żydzi, to przecież zupełnie inna historia...".

Kiedy potem opowiedziałam to zdarzenie przyjacielowi, amerykańskiemu Żydowi, popatrzył na mnie ze zgrozą. Jak mi się to mogło wydać śmieszne?! Próbowałam wyjaśnić: Może bezwiednie śmiejemy się po prostu ze słabszych? A ci polscy katolicy-nacjonalisci z Bydgoszczy przecież w niczym nie mogli mi zagrozić, ani zresztą nikomu innemu. Dlaczego więc miałabym traktować ich poważnie? (Ich kandydaci ponieśli klęskę w wyborach, jak się później okazało, a jednym z senatorów bydgoskich został zresztą Żyd z Warszawy.)

Antysemityzm antysemitów, którzy nie reagują na nazwisko Applebaum, którzy potrafią przez godzinę zabawić dziennikarkę o nazwisku Applebaum w nadziei, że rozpowszechni ich poglądy, jest surrealistyczny i po prostu śmieszny. Jest tego samego chowu co imperialne ciągły starszych dzentelmenów angielskich albo pretensje następcy tronu Azteków. Polacy antysemityzm to zastrzeżona domena tych, którzy nie bardzo mieszczą się w realnym świecie. Często polscy antysemici konstruują skomplikowane teorie spiskowe, aby wyjaśnić dlaczego w Polsce jest biednie i brzydko. Mieszkają w nie jeszcze za zwyczaj masonów. Z nostalgią opowiadają o wspaniałym polskim dzieciństwie kultury, o jej rozkwicie w XVI w. i jej późniejszym schyłku zawinionym — ależ oczywiście — przez Żydów. To Żydzi winni byli rozbiorów, Żydzie rozpętały II wojnę światową, Żydzi wymyślili rewolucję bolszewicką. Pani Thatcher to pewnie Żydówka, Gorbaczow to Żyd, ale ja Pani żadnego Żyda pokazać nie mogę, bo ich nie ma i w życiu żadnego nie widziałam.

Antysemityzm hitlerowski — produkt uboczny siły i wiedzy, a nie słabości i ignorancji, miał zupełnie inny wymiar. Obawiam się, że to samo dotyczy współczesnego antysemityzmu rosyjskiego. Obydwa to zjawiska masowe, prowadzące do prawdziwej przemocy i kreujące klimat prawdziwego strachu. Żydzi sowietcy, których poznałam, boją się. Polscy znajomi Żydzi czasem się zrymają, czasem się irytują, ale się nie boją. Wbrew różnym plotkom, na ulice Warszawy czy Bydgoszczy nie wylegają tysięczne tłumy żądające uwolnienia Europy od Żydów. Nie jest to niemożliwe, ale na razie nie takiego się nie dzieje.

Dlatego błędem jest wkładać do jednej przegródki wschodnio-europejsko-wcimarskiej polski antysemityzm i antysemityzm faszystowski, rosyjski, a

także węgierski i rumuński. Zbyt łatwo jest pakować do jednego worka wszystkie "nowe państwa" Europy Wschodniej — w tej sprawie i w każdej innej — zbyt łatwo i niebezpiecznie. Bo kiedy na Żydów zważy się prawdziwe niebezpieczeństwo, zapewne z Rosji, nie będziemy go w stanie rozpoznać. Tymczasem zaś możemy naigrywać się z Dobrych Katolików z Bydgoszczy, ostrzegających swój entuzjazm na oście paranoidalnej fantazji.

A oto inne zdarzenie, tym razem bardziej wieloznaczne. Jestem w małym miasteczku na północy Polski, niedaleko miejsca skąd się podobno wywodzi moi Applebaumowie. Pośrodku wsi wznosi się żółty budynek, trochę przypominający magazyn, większy i solidniej zbudowany niż reszta domostw. Obok niego — solidne, ceglane domy mieszkalne. Wdaje się w pogawędkę z dwójgim starszych ludzi, siedzących na stopniu jednego z tych ceglanych domów. Tak, potwierdzają moje przypuszczenia. Żółty magazyn to była kiedyś synagoga, a w tych tu domach mieszkali Żydzi. Polacy mieli domy drewniane. A teraz my mieszkamy w tych z cegły. Mogłaby to być scena z filmu Lanzmanna "Shoah".

Mężczyzna jest pijany, kobieta się ślini. Podwórko, zapewne kiedyś kuchenny ogród, pełne jest błota i śmieci. Mam ochotę zapytać ich, tak jak Lanzmann, czy lepiej im teraz bez Żydów, ale kobieta sama zaczyna mówić. "Żydzi mieli wszystkie sklepy. Bardzo dobre i

tanie. Był jeden polski sklep, ale zbankrutował. Teraz mamy tylko polskie sklepy", dodaje bez wyrazu.

Takie właśnie wsi i miasteczka wydały dzisiejszy antysemityzm. Przed wojną były jeszcze na polu feudalne. Jeśli była w nich jakaś burżuazja, to nieuchronnie żydowska, budująca swoją egzystencję w kraju, który przez wieki odmawiał im prawa do własności ziemskiej, opartej na przemysłowości, przedsiębiorczości, oszczędności — cechach, których polscy chłopci nigdy w sobie nie wyrobili. Zapewne część dzisiejszych chłopów nadal nie cierpi Żydów za te ich "żydowskie" cechy. Bez wątpienia ci, którzy tych cech nie lubią najbardziej, to zarazem ci, którym ich całkowicie brak. Co otrzymali w nagrodę za tę nienawiść? Polskie sklepy w miasteczku są brudne, zakurzone, drogie i źle zaopatrzone. Nikt nie wie jak je prowadzić. Jeśli ci polscy chłopcy wysiadujący na wykruszonych schodkach nie przyswoją sobie choć odrobiny żydowskiej przemysłowości, przedsiębiorczości i oszczędności, kapitalizm nigdy do nich nie dotrze.

I im i całej Polsce przydałoby się mniej ignorancji i pretensji, a więcej Żydów. Pech, że ich nie ma. Pech, że ich nie będzie. Już nigdy.

(tłum. gd)

Zdjęcie P.F. Nowicki



Mafia w drodze na wschód

Otwarcie granic między Wschodem a Zachodem unaktywniło środowiska tzw. "zorganizowanej przestępczości". Zniesienie "żelaznej kurtyny" zachęciło zachodnie mafie do postawienia nogi na prawie dziesięciu do tej pory terenach. Mnożą się kradzieże, rabunki z bronią w rękę, napady na banki, a przede wszystkim pojawiło się nowe zjawisko: masowy handel narkotykami. Również gangi z Europy Wschodniej nie pozostają w tyle. Wschodni mafiozi - od Polski przez Balkany aż po Ural - opanowują tereny do tej pory niedostępne: Europę Zachodnią. Armie Wschodnioeuropejskich ubiegających się o azyl, przesiedleńców, byłych współpracowników wschodniemieckiej tajnej policji Stasi, pomagają w rozbudowie mafijnych struktur, zaś zachodni mafijni "zwiodowcy" badają możliwości "inwestycji" w państwach Bloku.

Hamburski magazyn polityczny *Der Spiegel* w wydaniu nr 37/1990 zajmuje się tym problemem. Czytelnika polskiego zapoznajemy z fragmentami dotyczącymi Polski i kryminalnej aktywności naszych rodaków.

Międzynarodowa organizacja przemytników o szeroko rozbudowanych strukturach w całej Europie kradnie zachodnie samochody i szmugluje je do Polski, zaś ze Wschodu na Zachód wędrują kradzione dzieła sztuki. Przez Odrę i Nysę dostarczane są do Polski fałszywe banknoty (przede wszystkim 50-markowe), na Zachód zaś - dziesiątki kilogramów syntetycznego narkotyku amfetaminy, w cenie 10 tys. dol. za kg.

Już ponad siedemdziesięciu członków "Speed-mafii" (skrót używany przez Interpol) wpadło w ręce policji w Szwecji, Polsce i RFN. Zlokalizowano i zlikwidowano kilka laboratoriów w Warszawie, Łodzi i Wrocławiu. Aresztowano wielu przesiedleńców z Polski, sezonowych robotników, turystów oraz jednego pracownika LOT-u, który usiłował przeszmuglować 110 kg narkotyków. Jak twierdzi Interpol, jest to tylko znikoma ilość narkotyków, jakie szef mafii "Borys" - w zamian za walutę, kradzione samochody lub komputery - szmugluje na rynek skandynawski i zachodni.

Policja w Dusseldorfie prowadzi śledztwo przeciwko 358 Polakom, którym zarzuca się m.in. kradzież komputerów,

telewizorów, magnetowidów na sumę 10 mln DM. Koordynacją "pracy" zajmuje się boss zwany "Generałem". Aresztowani złodzieje mogą liczyć na pomoc "Generała", który przez osoby trzecie opłaca kaucje, łapówki dla urzędników czy przepukuje świadków. "Opiekunność" bossa daje wyniki: do tej pory z 358 aresztowanych Polaków policja zdołała ustalić personalia tylko 125, resztę znała wyłącznie z pseudonimów.

Ekloradem dla wszelkiego rodzaju oszustw są kasyna w byłych demoludach. "Obecnie rozbudowywany w Polsce i Jugosławii *Infrastrukturę*" - mówi współpracownik "przedsiębiorcy kasynowego" z Ulm (RFN), o przezwisku "Papież", który przez lata utrzymywał w RFN sieć nielegalnych salonów gry. "Otrzymanie licencji na otwarcie kasyna w Polsce jest bardzo proste do załatwienia" - mówi współpracownik "Papieża". Łapówka wynosi 50 do 90 tys. DM gotówką.

Włoskie szajki złodziei samochodów, które do tej pory "eksportowały" kradzione samochody na Bliski Wschód, współpracują obecnie z polskim "mafiozom" Nikodemem Skotarczakiem, lat 36. Według zachodniemieckiej BKA (Federalny Urząd Kryminalny), poprzez korupcję i łapówki zdobył on ogromne wpływy i dzięki temu rezyduje bez żadnych obaw w gdańskim hotelu "Marina".

Skotarczak dał się poznać zachodniemieckiej policji w ubiegłym roku, kiedy to uciekł z aresztu z berlińskiego Moabit. Policja dopiero po kilku tygodniach zorientowała się, że za kratami siedzi jego brat, który podczas wizyty w więzieniu przebrał się w więziarski mundur oraz brata, by ten mógł zrezygnować z darmowego wikt na niemieckiej ziemi. Obecnie boss kontroluje drukarnie fałszywych banknotów, handel narkotykami i szmugiel kradzionych samochodów.

Około 15 tys. z 110 tys. eksportowanych do Polski zachodnich samochodów pochodzi z kradzieży. Ręka w rękę pracują złodzieje, fałszerze dokumentów samochodowych, "transportowcy" i urzędnicy graniczni. Dzienna "wydajność": 25-40 samochodów. "Za jeden 100 DM dla celnika - opowiada szmugler "Jeans" - wwieziesz i wywieziesz wszystko, co chcesz".

Pracownicy BKA odnaleźli na giełdach samochodowych w Warszawie i Wrocławiu setki skradzionych w RFN pojazdów.

W większości wypadków "transportowcami" kradzionych samochodów są przypadkowi turyści, którzy "za przysługę" lub kilka marek dostarczają je do Polski. Najnowszy trick klanu Skotarczaka: polscy celnicy, współpracujący ze złodziejami, podczas kontroli granicznej zatrzymują niemieckim turystom o polskich nazwiskach dokumenty wozu. Wielu kierowców nie zauważa kradzieży. Dane samochodu przekazywane są natychmiast do "centrali", skąd idzie polecenie kradzieży kilku samochodów tej samej marki i koloru. Dokumenty samochodu kilkakrotnie służą wtedy do szmuglu samochodów.

W Berlinie byli pracownicy wschodniemieckiej Stasi współdziałają z chętnymi do współpracy właścicielami samochodów. W dzielnicy Tiergarten (Berlin Zach.) proponują sumę 4000 DM w zamian za "wypożyczenie na krótko" samochodu z kluczami i dokumentami. Po wyrażeniu zgody właściciel dostaje 2000 DM a po kilku godzinach (po powrocie z Polski) - kluczyki i dokumenty wozu z dodatkowymi 2 tys. DM. Później melduje na policji kradzież samochodu i kasuje jeszcze raz.

(oprac. lk)



Sport i polityka

Jacek Korczak-Mleczek

Czas igrzysk

Kibic sportowy w Polsce jest osobnikiem typowo "telewizyjnym". Wyboru nie ma żadnego. Mizerna liga futbolowa, taką lichotę, gdzie na 8 spotkań kolejki przychodzi w sumie 40 tysięcy widzów. Kiepska koszykówka, mizerny hokej, nudną lekką atletykę. Wielki świat pojawia się w czasie meczów o europejskie puchary, gdy można zobaczyć cudzoziemców z wyczynowego świecznika. Trafi się jeszcze eliminacyjny mecz reprezentacji i kropka. Gwiazdy nie zjeżdżają nad Wisłę. Nie mają podobno po co.

Przez całe lata sportowy establishment twierdził że:

- a/ nie ma forsy i nie będzie,
- b/ nie mamy obiektów i warunków.

Na różnych kongresach nigdy nie kruszone kopii o to, aby Polsce przyznano organizację światowych lub europejskich championatów. Lepiej być gościem, niż tyrać samemu przy przygotowaniach do imprezy. Lud i tak zobaczy to w TV: taniej i milutko.

W tym sezonie co prawda gościliśmy w Polsce ludzi startujących w mistrzostwach świata kajakarzy, modelarzy lotniczych i specjalistów gry w bocce (coś pomiędzy bilardem a kręglami), ale sportowy świat nie oszalał w tym czasie eksygując się doniesieniami z naszego kraju.

Ogólną niemoc miał pokonać zamysł prawie fantastyczny: sierpniowe święto sportu w dziesiątą rocznicę powstania "Solidarności". "Solidarity Games 90" to miała być nasza mała olimpiada. Zapal organizacyjny był tak wielki, iż możliwe wydawało się prawie wszystko. Juan Antonio Samaranch tańczący flamenco na stadionie Lechii, Alain Frost na gdańskiej obwodnicy albo AC Milan padający na kolana przed dziarską kadrą futbolistów trenera Strelaua. Było jednak po naszymu, swojsko.

Po pierwsze okazało się, że na hasło "Solidarność" można załatwić w świecie (w Polsce również) dużo, ale nie wszystko, że zamysł przeznaczenia ewentualnego dochodu z imprezy na sport dzieci specjalnej troski jest piękny, ale

finansowe rekiny nie są aż takimi altruistami. Po drugie nikt nie spodziewał się chyba (łącznie z gdańską centralą Igrzysk), iż znajdzie się w Polsce tylu hochsztaplerów gotowych podczepić się pod każdy show - w tym wypadku sportowy - gdzie zaangażowany jest autorytet Przewodniczącego.

Szef Krajowej Komisji Kultury Fizycznej "Solidarności", Piotr Ziemann, donosił był wcześniej, że liczba sponsorów Igrzysk jest tak wielka, iż przebiega w nich jak w ulgawkach. Sponsorzy nie mogli jednak przyspieszyć odprawy celnej autokaru z drużyną Žalgiris Kowno, który tkwił 36 godzin na wybitnie przepustowym przejściu w Ogrodnikach. Litwini na inaugurację Igrzysk spotkali się jednak z zespołem Harlem Wizzards. Taką trupą czarnoskórych cyrkowców, eksgracy NBA, którzy spodziewali się w Polsce wszystkiego poza tym, że przyjdzie im serio grać w koszykówkę. Grali jednak, przegrali jednym punktem, a winą za

porażkę obarczono sędziego "zegarowego", który ponoć miał zakończyć mecz w chwili stosownej dla Czarodziejów...

Poza tym przez dziesięć dni mogliśmy zobaczyć: mecz siatkówki Polska-Kanada, pokazy walk Wachodu, pingpongowy show w wykonaniu Andrzeja Grubby i jego przyjaciół, Wojciecha Fibaka i Thomasa Mustera, trochę żużla, motocrossu, wyścigów samochodowych oraz żalonne popisy naszych futbolistów z Eintrachtem Frankfurt, a nie Milanem (na szczęście). Był też Bieg Pomiędzy Pomnikami (gdańskim i gdynińskim) zaś w galimatiasie wrażeń pewne było tylko to, że LECH WAŁĘSA umie: rzucić piłkę do kosza, grać w pingponga, przebiec piłkę tenisową przez siatkę, jeździć samochodem, tańczy rumbę z zawodową baleriną i w ogóle jest bardzo sprawnym.

Na czas Igrzysk do Gdańska przybyli dwaj sędziwi panowie. Joao Havelange - szef FIFA - oraz pan Gaffner, prawa ręka przewodniczącego MKOl, co nadało imprezie dawkę światowego poloru. Resztę widzieliśmy na żywo (kibice dopisali z wyjątkiem... futbolu) w polskiej TV, gdyż satelita, na którą tak liczono, woli jednak twardą walkę od sportowych festynów. Impreza była oczywiście bardzo widoczna w Trójmieście, dzieci specjalnej troski miały swoje zawody pływackie na Oksywiu, a pan Ziemann przez 10 dni postarzał się o dwa lata. Najgorzej jednak było jeszcze przed nim...

Okazało się bowiem, iż "Solidarity Games" była zabawą bez szans na wypłacalność. Młodzieńszy zapal działaczy solidarnościowej Komisji Sportu był bez stosownej podkładki. Tylko linie KLM i LOT wywizały się ponoć z umowy (darmowe bilety), a biznesmen Niemczycki swoim aeroplanem zwiózł tenisistę Mustera i jego kumpla - zapiewając rockowego. Reszta rozplynęła się we mgłę zapewnienia. Na "Solidarity Games" były reklamy czołowych firm naszego neokapitalistycznego świata. Przewodniczący Wałęsa grający w tenisa na tle stosownego napisu,



"Bieg Pomiędzy Pomnikami"

to piękna promocja. Ale kiedy do pocziwego Ziemanna zaczęły spływać faktury za usługi, wynajem hali, transport, hotele, i inne dobrodziejstwa, okazało się, że pasywa Igrzysk wyraźnie biorą górę. Dlatego w połowie września ostatni akord "Solidarity Games" rozegrał się w Warszawie.

Organizatorzy w gronie uszczuplonym (co ważniejsi krzykacze, doradcy i pośrednicy uciekli zawczasu) pojawili się po pieniądze. W roli nianki pomagającej wystąpił stary-nowy ciągle reorganizowany Komitet Młodzieży i Kultury Fizycznej, który pokrył część niedoborów kwotą 300 milionów złotych. Z komentarzy (złożliwy zawsze się znajdują) wynika, iż owe Igrzyska niekoniecznie musiały się odbyć. Wystarczyło od razu z ul. Świętokrzyskiej przekazać pieniądze dla tak potrzebujących dzieci...

300 milionów to, mówiąc szczerze, grosz marny, jeśli ten sam nowy-stary resort kwotą o 100 milionów większą wsparł wcześniej, wspomniane już mist-

zostwa w pięknej grze zwanej bocce... Pieniądz po prostu lubi krążyć.

Na progu jesieni wystąpiła także pewna anomalia przyrodnicza. Pączkowanie sportowych notabli. Mamy już nawet prezydenta. Nazywa się Wiesław Szczodrowski, jest działaczem sportu wiejskiego spod Stargardu, i właśnie został prezydentem Rady Kongresu Kultury Fizycznej. Ciała społeczne, które niedawno obradowało w Warszawie. Obrady zbojkotowała niestety drużyna sportowej "Solidarności" - sama zresztą także solidnie zróżnicowana. Kongresowa Rada chce, tak to odebrano, stanowić rodzaj Supergrupy dzielącej w przyszłości budżetowe nakłady na kulturę fizyczną. Po co w takim razie Sejm, odpowiednia sejmowa komisja i sam resort ministra Lenkiewicza?

"Otwarty" stał się za to Polski Komitet Olimpijski. Znaczy przedtem musiał być "zamknięty", co wynika ze słów jego prezesa. Prezes Aleksander Kwaśniewski, postępując uprzednio przez Krajową Komisję Olimpijską Grzegorza Perskiego (rodowód oczywiście gdański i solidarnościowy) to już teraz dobre panisko,



"Czarodzieje" przegrali z Litwianami

a sam Perski został członkiem aeropagu z ulicy Frascati. Jest też nowy wiceprezes PKOl, pan Kurzajewski, na co dzień wice szef starego-nowego Komitetu Młodzieży i Kultury Fizycznej. To ciekawe, bo ongiś Kwaśniewskiemu zarzucano, że dubluje

odbyć się bez kropidła i szelestu sutanny. "Solidarity Games" błogosławił biskup Gocłowski. Kongres Kultury Fizycznej na pierwszym miejscu w swej Radzie umieścił kanonika Mirosława Mikulskiego, który przedstawiany jest jako "kapelan całego polskiego sportu". Ksiądz Mikulski podobno kiedyś był dobrym pięciarczem.

Futboliści też mają swoich kapelanów, a stołeczna Legia nawet spowiednika. Ksiądz Ząpolski z parafii Jaktorów, który w dodatku co tydzień drukuje szczere rozmowy z kopaczami Legii w ilustrowanej efemerydzie o nazwie "Mecz". Udowodniono więc, iż piłkarze mają dusze, chociaż Legia z księdzem Ząpolskim za bramką gra niestety coraz gorzej...

Jak widać tegoroczny czas igrzysk wcale nie zakończył się w sierpniu wraz z ostatnim akordem "Solidarity Games". Aha. Kongres pana Szczodrowskiego także dotowano z państwowej szkatuły. Tylko 75 milionów. Jak na kampanię prezydencką to prawie darmo.



Lech Wałęsa i Wojtek Fibak

funkcje: jedną nogą jest w państwowym urzędzie, a drugą w społecznej organizacji. Ale widać czasy się zmieniły i Kurzajewski już może.

Walka o stolki na wierzchuszcze naszego sportu jest ostra, bo to już ostatni dzwonek dla tych, którzy chcą zabrać się na igrzyska w Barcelonie. Samodzielne, głównie na papierze, polskie związki sportowe także zwary szeregi. Powstał Związek Polskich Związków Sportowych (sic!) na czele z prezesem... badmintonistów. Jest to już czwarte ciało, które w skomplikowanej materii fizykultury chce "decydować i wytyczać".

Chędogiemu sportowemu lobby, sprzyjają także sfery kościelne, bo już nic, co ze sportem związane, nie może u nas

zdjęcia: Sylwester Morawski

ARKADY KSIĘGARNIA POLSKA

Alsterarkaden 10
2000 Hamburg 10
tel. 040/3460-17

Polnische Buchhandlung Księgarnia Polska w Austrii

A-1070 Wien, Burggasse 22,
tel. 0222/ 9387222

katalogi wysyłamy na życzenie

Recenzje

Marta Waliszewska

Lektury polecane

Czesław Miłosz, *Rok myśliwego*. Paryż 1990, Instytut Literacki

Każda nowa książka Czesława Miłosza jest wydarzeniem. Ta niewątpliwie będzie wydarzeniem szczególnym. Po pierwsze dlatego, że nasz trzeci (po Sienkiewiczu i Reymonie) laureat literackiej nagrody Nobla przedstawia publiczności swój dziennik - w dodatku pisany niedawno, między 1 sierpnia 1987 a 30 lipca 1988. Po drugie zaś dlatego, że prowadzone codziennie lub co parę dni dziennikowe zapiski stały się dla Miłosza pretekstem do napisania pamiętnika - książki wspomnieniowej o własnej drodze życiowej oraz o ludziach, z którymi zetknął go los.

Tytuł i kompozycja książki nawiązują do popularnej ongiś publikacji Włodzimierza Korsaka. O ile jednak Korsak dał po prostu kalendarz gospodarski połączony z poradnikiem łowieckim, Miłosz mierzy dalej. Jest metaforycznym myśliwym, który pragnie pochwycić istotę otaczającego go świata. Jak sam pisze - "moją zwierzyńną był cały świat widzialny i życie poświęciłem próbom uchwycenia go słowami czy też trafienia go słowami".

A zatem: autoportret z szeregiem portretów w tle. W autoportrecie największe zainteresowanie czytelników obudzi zapewne okres od końca wojny do pozostania na Zachodzie, czyli czas współpracy Miłosza z komunistycznym reżymem, czas jego służby w polskiej dyplomacji. Książka Miłosza ukazuje się prawie równocześnie z autobiograficzną książką współtwórcy polskiego socrealizmu, Jana Kotta (*Przyczynek do biografii*, Londyn 1990, "Aneks") i - powiedzmy to od razu - podobnie jak tamta nie spełnia w tym względzie pokładanych w niej oczekiwań. Ani Kott ani Miłosz nie dają przekonującego wytłumaczenia tego, co zwykło się - za Miłoszem - nazywać "ukąszeniem heglowskim". Trzeba jednak przyznać, że próba odpowiedzi, zawarta w *Roku myśliwego* jest obszerniejsza i uwzględnia cały szereg imponderabiliów, o których zwykle zapominają historycy literatury, próbujący pisać na ten temat. Miłosz z właściwą poetom wrażliwością kreśli swoją własną sylwetkę z tamtych lat jako człowieka zagubionego między wiedzą o funkcjonowaniu systemu totalitarnego z potrzebą uznania i sławy. Pisze o roli, jaką już po wyborze emigracji i kariery akademickiej w Stanach Zjednoczonych odgrywała dla niego świadomość, że tam w kraju, mimo podłych artykułów i wierszy, pozostaje nadal autorem przedwojennych *Trzech zim* i powojennego *Ocalenia* - tomów, bez których trudno sobie wyobrazić historię współczesnej polskiej poezji.

Autoportret zawarty w *Roku myśliwego* nie ogranicza się oczywiście do końca lat czterdziestych. Miłosz stara się namalować swój własny wizerunek w różnych aspektach, od filozoficznego (ze szczególnym uwzględnieniem konfliktu między wewnętrzną potrzebą metafizyki czy przeżycia religijnego a przekonaniem, że w dzisiejszym świecie nauka na każdym kroku pokonuje religię) po sensualny (tu ciekawe uwagi o równoczesnym przyplwicie - koło siedemdziesiątki - trzech wigorów: alkoholowego, erotycznego i twórczego).

Wreszcie portrety w tle. Wymieńmy nazwiska tych, którzy otrzymali w książce Miłosza obszerniejsze, paru- lub parunastot-

tonicowe sylwetki. Konstanty Ildefons Gałczyński. Ksawery Pruszyński. Jarosław Iwaszkiewicz. Józef Mackiewicz. Karol Ludwik Koniński. Jeanne Hersch. Leon Schiller. A obok nich, między nimi - sylwetki krótsze, nieraz paruzdaniowe, a przecież żyjące własnym życiem. Tu trzeba przede wszystkim wymienić żonę poety, Janinę. (*"Mężczyzna i kobieta to w pierwszym rzędzie gra miłości własnych. I dlatego cała ta dziedzina tak podejrzana, nieczysta. Moje sumienie obciążone. A zarazem wiem, że Swedenborg miał rację: prawdziwe małżeństwo jest rajem na ziemi. Tego szukałem i tego, ale krótko, z Janą znalazłem."*)

Oddając swój dziennik-pamiętnik do druku Miłosz zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństw, na jakie się naraża. Autor *Roku myśliwego* należy zresztą do pisarzy świadomych typowej przywary tego zawodu - próżności. Czasem jednak czytelnik ma wrażenie, że opowieść wymyka się spod kontroli: wówczas zwłaszcza, kiedy autor zachwyca się swoimi sukcesami w roli... recytatora własnej poezji. W pełni natomiast można zrozumieć poczucie rozpaczy, kiedy przyszło Miłoszowi słuchać tam z jego wierszami, recytowanymi w Polsce przez młodych ludzi przy akompaniamencie muzyki. (*"Gdybym chciał żyć dłużej, to tylko po to, żeby naprawić zło, jakie wyrządziłem. A do niego należy wszelka poezja, która sprzyja polskiemu jękiwie-szlachetnie-patriotycznemu samoderstwu. Czy też na tę modłę może być recytowana. Niestety. Niestety. Leśmian nie napisał ani jednego wiersza w tej służbie, a co mnie kusilo? Grzeczny harcerzyk nie mogący wyzwolnić się z krótkich majtek. I nie żadne moje komunizowanie ale to właśnie, nawroty narodowej ortodoksji, jest plamą, której nie da się wyczyścić."*) Świadomość, choć przychodzi poniekąd, staje się nową wartością. A Miłosz jest myśliwym, który poluje właśnie na terenach świadomości i podświadomości.

Jacek Żakowski. *Trzy ćwiartki wieku. Rozmowy z Jerzym Turowiczem*. Kraków 1990, Wydawnictwo ZNAK

Zapis rozmów, jakie w roku 1987 młody dziennikarz "Powieściowości i Pracy", autor książki o środowisku "Tygodnika Powszechnego" (*Anatomia smaku*) Jacek Żakowski przeprowadził w Kalwarii Zebrzydowskiej z siedemdziesięcioletnim wówczas Jerzym Turowiczem, tegoż "Tygodnika Powszechnego" długoletnim redaktorem naczelnym i filarem.

Jak się okazuje z rozmów, Turowicz już przed wojną był redaktorem naczelnym kilku pism o dość różnym charakterze ("Głos Narodu", "Dyszel w Głowie" (!), "Historia"). Może warto by pomyśleć o książkowym wyborze jego przedwojennej publicystyki?

Książka daje chronologiczny przegląd najważniejszych etapów drogi życiowej Turowicza i jego pisma: od pierwszych lat powojennych, przez okres przywłaszczenia sobie pisma przez Jana Dobraczyńskiego i "PAX", następnie okres rozkwitu prestiżu "Tygodnika" od Października do wprowadzenia stanu wojennego, po czas rosnącej polityzacji pisma od "odwieszenia" w maju 1982. W aneksie zamieszczono słynne przemówienie Turowicza, wygłoszone na otwarciu obrad Okrągłego Stołu.

Cechą, która sprawia, że *Trzy ćwiartki wieku* to książka żywa, pełna wewnętrznego dramatyzmu, jest różnica wieku obu rozmówców i płynąca stąd różnica perspektyw (przy podobnych

poglądach). Żakowski do dawnych dzieł przykłada dzisiejsze miary etyczne, przez co pobudza swego rozmówcę do poddania dawnych wyborów nowemu oglądowi, nowej ocenie.

Na prowokacyjne pytanie Żakowskiego o największy wyrzut sumienia Turowicz odpowiada: *"Wydałem mi się, że mógłbym, że powinienem napisać parę książek, które chodzą mi po głowie."* Wymienia też trzy tematy - o narodzie, o ekumenizmie oraz o powikłanych sprawach polsko-żydowskich i chrześcijańsko-żydowskich. Zanim takie książki powstaną (jeśli powstaną) w *Trzech światkach* wieku otrzymujemy książkę, której głównym autorem jest przecież Jerzy Turowicz - pomimo poszturcowań ze strony Wałęsy, jeden z największych autorytetów obecnego życia publicznego w Polsce.

Tadeusz Fredro-Boniecki, *Zwycięstwo księdza Jerzego, Rozmowy z Grzegorzem Piotrowskim*. Warszawa 1990, Niezależna Oficyna Wydawnicza

Ta książka działa jak burza. 27 czerwca 1990 autor zaniósł jej fragment (list zabójcy ks. Popiełuszki do gen. Kiszczaka) do "Gazety Wyborczej". 6 lipca Czesław Kiszczak przestał być wicepremierem i ministrem spraw wewnętrznych. Cała książka ukazała się w początkach października. W piątek 5.10. autor podpisywał pierwsze egzemplarze na Uniwersytecie Warszawskim, a w poniedziałek 8.10. oznajmiono o aresztowaniu kilku negatywnych bohaterów książki Fredry-Bonieckiego: generałów MSW Ciastonia, Platka i Milewskiego (tego ostatniego pod innym zarzutem). W chwili, gdy piszę te słowa spośród osób, na których winę, a przynajmniej współwina o zbrodniczych planów *Zwycięstwo księdza Jerzego* niedwuznacznie wskazuje, już tylko jedna piastuje jeszcze swój wysoki (najwyższy) urząd - ale i tu kres jest już bliski.

Książka Fredry-Bonieckiego prowokuje do kilku pytań. Czy było rzeczą słuszną oddawanie głosu mordercy? Czy Piotrowski, wykwalifikowany specjalista od dezinformacji, nie wykorzystał swego rozmówcy do namotania intrygi, która odpowiedzialność za jego czyn przerzuci, przynajmniej częściowo, na inne, wyżej postawione osoby? W moim przekonaniu dobrze się stało, że ta książka ujrzała światło dzienne. Nie tyle dlatego, że prezentuje rewelacje, w istotny sposób zmieniające stan wiedzy o zabójstwie ks. Popiełuszki, ile dlatego, że odsłania wiele praktyk ministerstwa spraw wewnętrznych, stosowanych w niedawnej jeszcze przeszłości. A jakie będą jej dalsze skutki prawne - pokaże najbliższa przyszłość.

Kinematografia

Marek Pieczara

Bezruch i apatia

Małe zainteresowanie filmem. W 1987 r. odwiedziło kina w Polsce 95 mln widzów, w 1988 - 86 mln, zaś w 1989 - 70 mln. Tegoroczne prognozy są jeszcze gorsze. Zmniejsza się również ilość sal kinowych i nie zanoszą się na odwrócenie lub zatrzymanie tej tendencji. W 1988 r. było ich 1878, w połowie 1990 r. - 1360.

Z kin zniknęły polskie filmy. Dominuje w nich komercyjna produkcja amerykańska. W latach 1985-88 ilość amerykańskich filmów utrzymywała się w granicach 15-20 tytułów. W połowie bieżącego roku było ich już 30, a lista zakupów dowodzi, że będzie ich jeszcze więcej. Aż do znużenia powtarzają się w tytułach słowa: "zbrodnia", "krwawy", "śmierć".

Tę ostatnią zwiastuje niechybnie dla naszej kinematografii nie tylko widmo komercjalizacji i infantylizacji repertuaru, ale również zimna twarz wicepremiera Balcerowicza. W przyszłym roku nie przewiduje się dotacji podmiotowych na produkcję filmów. Oznacza to rychły rozpad zespołów filmowych. Dotacje, owszem, będą, ale na wybrane tytuły. Przewiduje się na ten cel 9 mln złotych, co jest sumą więcej niż skromną. W ubiegłym roku powstały 32 filmy, w bieżącym będzie ich (jak dobrze pójdzie) o połowę mniej. W następnym produkcja nie przekroczy 10.

Ale problem leży nie tylko w pieniądzu. Dziś odpadły również protekty polityczne, które wpływały na koniunkturę X Muzy. I to z obu stron - władzy i społeczeństwa. Polityczny konformizm, czyli sprzyjanie i podlizywanie się władzy, owocował sporymi profitemi. Polityczne nieposłuszeństwo przyćmiewało do kina widzów obietnicą dreszcy, jakie towarzyszą sięganiu po zakazany owoc.

Nowa sytuacja wymaga od filmowców pomysłu na szczególnie przejście przez Rubikon gospodarczych i politycznych zmian. Mówiło się o tym od dawna. Ale kiedy nadeszła "godzina zero", zabrakło odwagi, pomysłowości i wyobraźni. Na początku września złożył rezygnację ze stanowiska prezesa Stowarzyszenia Filmowców Polskich, Janusz Majewski. Uzasadniał swoją decyzję tak: "Od lat Stowarzyszenie toczyło z komunistami walkę o pewne preferencje dla polskiego filmu. Myśleliśmy, że jak zmieni się ustroj i przyjdzie nowa ekipa, zrozumie, jak jest to ważne. To przecież nasza sztuka filmowa, jej najwartościowsze dzieła zyskiwały autentyczny prestiż za granicą. Ale tak się nie stało. Przez okulary finansowe nie dostrzega się, że kultura umiera. Jeśli mamy ocalić polskie kino przed całkowitym unicestwieniem, musimy teraz zmobilizować wszystkie siły. Tymczasem środowisko trwa w stanie apatii i bezruchu. (...) To środowisko powinno sformułować i zaproponować program oraz pomagać w jego realizacji".

Trudno nie przyznać racji Majewskiemu, kiedy mówi o bierności swoich kolegów. Jest ona dziś widoczna tym bardziej, jeśli zestawimy np. działalność istniejącego w latach 1980-81 Komitetu Ocalenia Kinematografii z ostatnim Forum SFP, które - jak co roku - towarzyszyło festiwalowi filmowemu w Gdyni. KOK, na czele z Wajdą, wziął w swoje ręce problemy polskiego kina nie oglądając się na nic i na nikogo. Dziś ci sami ludzie nie są w stanie podjąć wyzwania, jakie stawia przed polskim filmem reforma gospodarcza. "Czerwony upiór" miał widać pozytywny wpływ na temperament i emocje. Wolność jakby związywała ręce i pętała umysły.

Ciekawe uwagi na ten temat zgłosił w trakcie tegorocznego Lubuskiego Lata Filmowego w Łagowie krytyk, Andrzej Werner: "Obawiam się, że po wygaszeniu źródła "negatywnego" upolitycznienia (...) na pierwszym planie pojawi się teraz konsumpcyjny, egoistyczny, zapatrozony we własne potrzeby, obojętny wobec innych, aspołeczny, zsofistyczny konsumpcyjny".

Być może już jutro będziemy mieli z nim do czynienia. Ale, z jednej strony, polskie kino posiada chlubną i bogatą artystyczną tradycję, więc na przekór wszystkiemu będzie ona pozytywnie wpływać na przyszłość. Z drugiej, przyszłość dostarczy artystom nowe tematy i scenariusze, w których odnajdywać powinna siebie i swoje problemy nowa widownia.

Wymaga to moralnej odwagi i wyobraźni od filmowców, umiejętności szybkiego reagowania. O miejscu i znaczeniu kinematografii decydować będzie już nie mecenas, nie układ między "stronami" - nową władzą a środowiskiem - tylko rodzaj więzi kina z jego odbiorcami. Tak jest wszędzie tam, gdzie kinematografia funkcjonuje na zdrowych zasadach. Mówienie o "układzie" to relikty skomunizowanej mentalności.

IMPRESSUM

„Poglądy” – niezależny, ponadpartijny miesięczny magazyn polityczny – wydawany jest przez fundację „Poglądy”. Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk i ilustracja wyłącznie za pisemną zgodą wydawcy. Niezamówionych materiałów nie zwracamy, a w przypadku ich publikacji nadsyłamy sobie prawo do skrótu. Materiały podpisane nawet nazwiskiem niekoniecznie oddają stanowisko redakcji. Odpowiedzialność za artykuły podpisane nazwiskiem ponoszą autorzy. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Ceny ogłoszeń ustalany każdorazowo ze zdecydowaniem.

„Poglądy” ukazywał się od stycznia 1982 roku w Berlinie Zachodnim jako niezależne pismo zrzeszenia „Gesellschaft Solidarität” e.V. Od numeru 153 (wrzesień 1989) ukazuje się w Warszawie, od nr. 163 jako wydawnictwo fundacji „Poglądy/Warszawa”.

Kolportaż i prenumerata za granicą do grudnia 1990 wyłącznie poprzez „Gesellschaft Solidarität” e.V., c/o Edward Klimczak, Postfach 420122, D-1000 Berlin 42 (West) oraz jego wymienionych niżej przedstawicieli.

Prenumerata krajowa: przez kolporterów „Poglądy”.

Prenumerata zagraniczna: cena pojedynczego egz. na Zachodzie DM 5,-.

RFN:
półrocznik DM 35,-
rocznik DM 65,-

Europa i kraje zamorskie (pocztą zwykłą):
półrocznik DM 40,-
rocznik DM 75,-

Kraje zamorskie (pocztą lotniczą):
półrocznik DM 57,-
rocznik DM 105,-

Australia:
półrocznik DM 67,-
rocznik DM 130,-

Wysyłkę pocztową po przekazaniu należności na konto – z dopiskiem „prenumerata”:

„Gesellschaft Solidarität”
Sparkasse Berlin West
Konto-Nr. 1220012382
BLZ 10050000

„Gesellschaft Solidarität”
Post giro Berlin West
Konto-Nr. 88 90-102
BLZ 10010010

Adres redakcji:

„Poglądy”
Kierownik biura: Masza Kmicik-Lejman
ul. Hoża 37 m. 31
WARSZAWA
tel. 22/218881

Editor: Edward Klimczak
Redakcja: Stanisław Gąleziowski – zagranicą;
Adam Kowalski – aktualności;
Zbigniew Zbikowski – red. odp.

Korespondenci zagraniczni:

Esa Darnus, Maria de Hernandez-Paloch – Paryż; Wiktor Gronowicz – Monachium; Edward Klimczak – Berlin; Andrzej M. Pydzioł – Wiedeń; Maciej Kadoan Rybiński – Bonn, Cezary Stolarczyk – Chicago; Roman Śmigajski – Kopenhaga; Andrzej Zwanicki – Waszyngton

Przedstawiciele i kolporterzy:

AUSTRALIA – Andrzej Lewandowski, 8 View Street, 6008 Subiaco, tel. 09/3821662; AUSTRIA – Księżna Polska, Zofia Reinbacher, Burgasse 22, 1070 Wien; DANIA – Roman Śmigajski, Wornaaesvej 7, 4w, 1972 Frederiksberg C, tel. 01/31393330; KANADA – Marek Przykowski, 5050 Roslyn, Apt. 32, H3W2L2 Montreal, PQ; RFN – Robert i Stanisław Brodnicki, Zum Luftschacht 17, 4600 Dortmund 15, tel. 0231/374673; Jerzy Jankowski, Oskar-Maria-Graf-Ring 54, 8000 München 83, tel. 089/6371213; Tadeusz Leś, Wiener Str. 307a, 7000 Stuttgart 30, tel. 0711/8567415; Z.J. Pilarski, Im Hirschfeld 19, 5190 Stolberg, tel. 02402/84348; Marek Poliwski, Jülicher Str. 22, 5000 Köln 1, tel. 0221/219480; Christoph Pyrek, Wangenstr. 27, 7000 Stuttgart 1, tel. 0711/463038; Stanisław Rejman, Buecherstr. 12, 7057 Winnenden, tel. 07195/74356; Waldemar Tymoszuk, Alster Arkaden 10, 2000 Hamburg 36, tel. 040/346047; USA – Tamara Suchacka, 4026 Cadill, Detroit, MI. 48212, tel. 313/8715317; WIELKA Brytania – Solidarity with Solidarity, 7 Quintin Ave., London SW20 8LD, tel. 01/6734456;

Od Wydawcy:

Niniejszy numer – kolejny już raz – ukazuje się z opóźnieniem, co „Poglądowi” nie zdarzyło się od chwili założenia w dn. 17 stycznia 1982 roku do grudnia 1988 roku, kiedy ukazywał się jako emigracyjny dwutygodnik Towarzystwa Solidarność w Berlinie Zachodnim. 152 wydania „Pogląd” nie był jednak nigdy typowym pismem emigracyjnym – jego wydawcą i współpracownicą byli sprawami krajowymi.

W trudnych latach stanu wojennego utrzymywali kontakt z Polską nie tylko o charakterze dziennikarskim i wydawniczym, przesyłając tu mini-wydania własnego pisma i książki wydawnictw emigracyjnych. Przede wszystkim były to kontakty polityczne, bo walczącej „Solidarności” i opozycji dostarczaliśmy różnorakiego sprzętu poligraficznego, radiostacji, aparatów do nasłuchu milicji, pomocy finansowej a nawet lekarstw.

Konsekwencją tej postawy – w obliczu zmian politycznych w kraju – było przeniesienie „Poglądu” do Polski, co nastąpiło we wrześniu ubiegłego roku. Wtedy zaczęły się też tzw. trudności „obiektywne” – z podziemnymi jeszcze wówczas drukarzami, komercjalizującym się kolportażem, ze zorganizowaniem redakcji, z nieuczciwym macherem przywłaszczającym sobie nie kwitowane jeszcze, dewizowe honoraria dla kolegów dziennikarzy. Obiektywnych trudności nie ubywało wraz z wychodzeniem z podziemia już w tym roku – przeciągała się rejestracja fundacji i pisma, otwarcie konta itd., a więc instytucjonalizacja, pozwalająca działać prawnie i profesjonalnie. Choć „Pogląd” był czytany i szanowany przez te kilka tysięcy elitarnych czytelników, to jednak do szerszej rzeszy czytelniczej nie docierał. I ciągle musiał być dotowany.

Wraz z przekazywaniem sprzętu i kompetencji do redakcji warszawskiej, coraz bardziej wzrastały owe trudności. Okazało się, że to co w emigracyjnym piśmie robili dwie-trzy osoby, tu wymaga trzykrotnie większego personelu, albo trzykrotnie dłuższego czasu. I większych nakładów.

Już we wrześniu tego roku „Pogląd” miał być składany i w mniejszej objętości wydawany jako dwutygodnik. Posiadanie sprzętu, lokalu, instytucji i środków finansowych – bez zaangażowanych profesjonalistów – nie prowadzi jednak do końcowego rezultatu – punktualnego dostarczania jakościowego produktu na rynek. Dlatego niniejszy numer jest niestety nie tylko spóźniony, ale i gorzej złożony i wydrukowany. Jest pierwszym dzieckiem warszawskiej redakcji, które nigdy nie urodziłoby się bez inkubatora, tj. małego wydawnictwa „Eduktor”, którego drukarz mierzalnie skleił ten numer z dostarczonych mu nieprofesjonalnych makiet i wydrukował z kilkutygodniowym opóźnieniem. Tak więc warszawska redakcja wydała swój prawie całkowicie własny numer. Pierwszy i ostatni, jako że zdecydowałem się na jej rozwiązanie, nie godząc się na wydawanie magazynu politycznego jako kwartalnika. Byłby to przecież dziwłóg.

„Pogląd” będzie funkcjonował jako fundacja i wydawnictwo książkowe mające już na swoim koncie ponad 20 tytułów.

Nie mając możliwości dalszego wydawania pisma, chcę tu podziękować za współpracę wszystkim autorom, korespondentom, kolporterom i przedstawicielom. Dziękuję wszystkim współpracownikom i osobom „Poglądowi” życzyliwym, szczególnie zaś mojemu Koledze, p. Leszkowi Kalecie z Berlina, który od stycznia 1982 r. „walczył” wspólnie ze mną na solidarnościowo-„poglądowym” froncie. Szczególne wyrazy podziękowania za długoletnią współpracę kieruję również do p. Macieja Rybińskiego do Bonn.

Edward Klimczak

P.S. Informuję jeszcze, że nadpłaty prenumeraty przez P.T. Czytelników za granicą zostaną oczywiście zwrócone.

KOSZ

KOSZYK

KOSZYCZEK

NASZ...

